

RODZINA

TYGODNIK

KATOLICKI

NR 40 (378) ROK VIII WARSZAWA, I.X.1967. CENA ZŁ 2



Z OBRAD WYDZIAŁU CENTRALNEGO ERK W HERAKLION

POMOC CHARYTATYWNA

Główne punkty, na których skoncentrowała się pomoc charytatywna kościołów członkowskich ERK, to India, Wietnam i Bliski Wschód.

Celem zwalczania klęski głodu w Indii wyasygnowano dodatkowo 3 mln dolarów. Główną uwagę zwrócono na rozwój rolnictwa, szczególnie zaś na budowę nowych studzien. Działalność w Indii prowadzona wspólnie z Kościołem rzymskokat. jest przykładem działalności w najszerzym tego słowa znaczeniu ekumenicznej.

W ramach Chrześcijańskiej Służby w Azji wyasygnowano

wodowe przygotowanie kapłanów, ale raczej wyszkolenie wszystkich chrześcijan do wielostronnej służby w zjednoczonym Kościele.

Wyszkolenie teologiczne będzie w dalszym ciągu przedmiotem studiów i rozważań Ekumenicznej Rady Kościołów.

W OBRONIE PRAW LUDZKICH

Dyrektor Komisji do Spraw Międzynarodowych dr T. Nolde złożył podziękowanie ludności Krety za serdeczne przyjęcie. Stwierdził następnie, że rząd grecki respektuje prawa ERK i nie stosuje żadnej cenzury ani co do obrad ani co do wysyłanych informacji.

Następnie dr Nolde omawiał starania ERK, aby w definicjach i w deklaracjach ONZ dotyczących praw człowieka nie pominięto sprawy wolności religijnej. Analogicznie Rady Kościołów w poszczególnych krajach winny czuwać, aby ustawy krajowe były w tym zakresie zgodne z deklaracjami i prawem międzynarodowym.

Dr Nolde mówił w dalszym ciągu o wojnie w Wietnamie, wyrażając obawę, że eskalacja powiększa groźbę wybuchu trzeciej wojny i cierpienia narodu wietnamskiego.

SPÓŹNIONA REAKCJA

Delegat francuski Charles Westphal wyraził przekonanie, że ERK zbyt późno zajęła stanowisko w sprawie konfliktu na Bliskim Wschodzie. Wcześniejsze wystąpienie uchronił by mogło od wielu bolesnych rozczarowań zarówno państwa arabskie jak i Izrael.

Przewodniczący Komisji do Spraw Międzynarodowych sir Kenneth Grubb wyjaśnił, że już 3 sierpnia odbyło się w Genewie spotkanie z przedstawicielami kościołów z krajów arabskich. 5 sierpnia Rada ogłosiła apel do Narodów Zjednoczonych, a 7 sierpnia ogłoszono komunikat zawierający stanowisko Rady.

Sir Kenneth wyraził niezadowolony z rozwoju sytuacji w Hiszpanii i ze stanowiska jakie rząd hiszpański zajmuje wobec protestantów.

WYSTĄPIENIE GENERALNEGO SEKRETARZA

Sekretarz Generalny dr E. Carson Blake wyraził przekonanie, że w związku z 450 rocznicą wystąpienia Lutra, w październiku br. NRD odwiedzi duża liczba wyznawców luteranizmu. Przewidziana jest również oficjalna delegacja ERK.

W związku z coraz ściślejszą współpracą z Kościołem rzymskokatolickim przewiduje się ustalenie w przyszłym roku wspólnie finansowanego programu w zakresie działalności cha-

Ojciec Hamer, obserwator z ramienia Kościoła rzym. kat., w rozmowie z arcybiskupem Gunnarem Hundgren



rytatywnej. Przystąpienie rzymskokat. do ERK na razie jest problemem czysto hipotetycznym.

Zwiększenie ilości świeckich w kierowniczych instancjach ERK w obecnej chwili jest niemożliwe do zrealizowania, ale będzie brane pod uwagę.

Arcebiskup Nikodem z Krety prowadzi procesję



Arcebiskup Iakovos i metropolita Nikodem z Leningradu



Członkowie Wydziału Centralnego Ekumenicznej Rady Kościołów

PAPIEŻ O NIEROZPRZESTRZENIANIU BRONI ATOMOWEJ

Wspólny projekt amerykańsko-radziecki o nierozprzestrzaniu broni atomowej spotkał się z uznaniem ze strony papieża. „Układ ten wydaje się nam rzeczywiście pozytywny — oświadczył Paweł VI — ponieważ wskazuje na zrozumienie w tej odpowiedzialnej chwili olbrzymiego i wprost niewypowiedzianego niebezpieczeństwa broni atomowej oraz stanowi pierwszy krok, niewątpliwie jeszcze nie decydujący, na drodze prowadzącej ku ogólnemu pokojowi na świecie. Układ ten wydaje się nam pozytywny również dlatego, że jest przejawem współpracy międzynarodowej, bez której nie można mieć nadziei na bezpieczeństwo i pokój na świecie”.

220 tys. dol. na pracę w Wietnamie, która obejmowała w pierwszym rzędzie organizację opieki lekarskiej i usługi socjalne. W Wietnamie działa ponadto Chrześcijańska Służba w zakresie pomocy dla rolnictwa.

Również pomoc dla ofiar wojny na Bliskim Wschodzie przyniosła bardzo poważne rezultaty, dzięki stworzeniu wydziału koordynującego poczynania Kościołów prawosławnych, protestanckich i Kościoła katolickiego.

Dary ERK dla ofiar trzęsienia ziemi w Turcji wyniosły ponad 300 tys. dol.

WYKSZTAŁCENIE TEOLOGICZNE

Najczęściej rozumie się, że wykształcenie teologiczne ma przygotować człowieka do pełnienia funkcji kapłana lub teologa w określonym kościele. W sensie ekumenicznym należy to ująć nieco inaczej: jako przygotowanie całego Kościoła i wszystkich jego członków, do czynnego udziału w misji zjednoczenia wszystkich ludzi w Chrystusie.

Z definicji tej wynikają następujące konsekwencje:

— przedmiotem wykształcenia teologicznego nie może być tylko akademicki wykład Pisma św., historii i nauki kościoła, ale raczej wzajemny stosunek między słowem bożym i światem człowieka.

— celem wykształcenia teologicznego nie może być tylko za-



Na naszej okładce:

„Anioł światła wiekuistego” — projekt witrażu wykonał Mehoffer Józef (1869—1946)

fol. St. Sobkowicz

NIEŚMIERTELNOŚĆ

EWANGELIA

WEDŁUG ŚW. JANA (4, 46—53)

Onego czasu: Był dworzaniec pewien, którego syn chorował w Kafarnaum. Ten, gdy usłyszał, że Jezus przybył z Judei do Galilei, poszedł do Niego i poprosił Go, aby przyszedł i uleczył syna jego, bo już dogorywał. I rzekł do niego Jezus: Jeśli nie widzicie znaków i cudów, nie wierzycie. Rzecze do niego dworzaniec: Panie, przyjdź pierwej, zanim umrze syn mój. Rzecze do niego Jezus: Idź, syn twój żyje. I uwierzył ów człowiek słowu, które mu powiedział Jezus i poszedł. A gdy był w drodze, wyszli na jego spotkanie słudzy i oznajmili, mówiąc: Syn twój żyje. Zapytał ich tedy o godzinę, w której mu się polepszyło. I rzekli: Wczoraj o godzinie siódmej opuściła go gorączka. Poznał tedy ojciec, że była to godzina, w której powiedział do niego Jezus: Syn twój żyje. I uwierzył sam, i cały dom jego.



apewne nieraz widzieliśmy człowieka zmarłego. Z przerażeniem i pewnym niedowierzaniem patrzyliśmy na te szczątki, które jeszcze kilka dni temu żyły. Wpatrywaliśmy się pilnie w twarz zmarłej osoby i chcieliśmy dowiedzieć się czegoś konkretnego o tajemnicy śmierci. Niestety, usta nieruchome i skamieniałe — nie otworzyły się już nigdy, a my? Wstrząsający ten obraz utkwił głęboko w naszej pamięci i jeszcze długi czas po pogrzebie przypominał się nam. Pomyśleliśmy: trudno, wszyscy muszą umrzeć, bo nie ma nic pewniejszego dla człowieka nad śmierć.

To jednak stwierdzenie nie wystarczyło nam. Pytaliśmy siebie: Czy na tym koniec? Czy to ciało, które zostało złożone w grobie, to cała wartość ziemskiego życia? — I wtedy przysłała myśl, że jednak tak być nie może. Człowiek ma przecież duszę, która jest nieśmiertelną. Prawdę tę znamy z nauki katechizmu. Jest ona jedną z najważniejszych prawd naszej świętej wiary. O niej to Pismo św. mówi na wielu miejscach. Już w Starym Testamencie sprawiedliwy Job woła: „Wiem, że Odkupiciel mój żyje, a w dzień ostateczny powstanę z ziemi i znowu obleczam będkę w skórę moją i w ciele moim oglądam Boga mego” (Jb 19, 25); a za nim Mędrzec Pański: „I wróci się proch do ziemi swej, z której był, a duch zwróci się do Boga, który go dał” (Ekl 12, 7). Najbardziej jednak przekonujące dowody o istnieniu życia pozagrobowego daje nam Zbawiciel, który przecież przyszedł na świat „szukać, co było zgineło”, aby „wszelki, który weń wierzy, nie umarł, ale miał żywot wieczny”. Zwalczal Jezus przede wszystkim saduceuszów, którzy zaprzeczali możliwość zmartwychwstania. Zbijał ich zarzuty dowodząc, że Bóg nie jest Bogiem umarłych, ale żywych (Mk 12, 27). Napominał swoich uczniów tymi słowami: „A nie bójcie się tych, którzy zabijają ciało; duszy zabić nie mogą” (Mt. 10, 28), a do współwyznawcy skazańca powiedział: „Dziś ze mną będziesz w raju” (Łk. 23, 43). Wreszcie sam, umierając na krzyżu, polecił ducha swojego Bogu Ojcu: „Ojcie, w ręce twoje oddaj ducha mego”.

W nieśmiertelność duszy wierzył człowiek od najdawniejszych czasów. Wystarczy przeglądnąć tylko, choćby pobieżnie, historię, a przekonamy się, że nie ma na świecie takiego narodu, który by nie wierzył w tę prawdę. Paganin Cyzero powiedział: „Tak, jak wierzymy w istnienie bogów, tak

też przyjmujemy, opierając się na jednoznacznie przekonaniu wszystkich ludów, że dusze, po śmierci ciała, żyją dalej”.

A jak przejawiała się ta wiara? — Otóż wszystkie narody wyrażały swą wiarę w życie nieśmiertelne głównie przez staranną troskę o zmarłych. Do grobowców zanoszono wraz z ciałem zmarłego różne przedmioty codziennego użytku, jak np. broń, księgi, i pożywienie. Często także, jak świadczą wykopaliska, żona lub niewolnicy zmarłego szli dobrowolnie na pionący stos, aby zmarły mógł się nimi cieszyć w życiu przyszłym. U narodów bardziej kulturalnych wiara w nieśmiertelność duszy przejawiała się w wielkiej trosce o ciało zmarłego. W tym celu namaszczano i specjalnie balsamowano ciało, a potem wśród licznych ceremonii obchodzono uroczystości pogrzebowe.

Cóż oznacza ta nieśmiertelność i na czym ona polega? Najpierw zdajmy sobie sprawę z tego, że śmierć nie jest unicestwieniem wszystkiego, jakby się wydawać mogło. Bo z chwilą śmierci następuje zapoczątkowanie procesu rozkładu materii. Rozkład nie oznacza jednak unicestwienia; na organizmach niszczących wyrastają nowe, czyli wynika stąd, że w przyrodzie nic nie ginie! Ale czy naprawdę tak jest? Oczywiście, że tak. Oto, gdy złożą ciało ludzkie do grobu, ono się tam rozkłada i miesza się z ziemią. Podobnie jest z roślinami, które z czasem gniją i stają się podłożem dla nowego życia. A może ogień niszczy wszystko zupełnie? — Także nie, bo zawsze pozostanie garść popiołu... A więc, jeśli nawet materia nie ginie, to jakże mogłaby zginąć dusza ludzka, która jest duchową, niematerialną, stworzoną na obraz i podobieństwo Boże. Mamy więc odpowiedź na pytanie: Co to jest nieśmiertelność: nieśmiertelnym nazywamy to, co nigdy nie umiera i umrzeć nie może, to, czego nie można obrócić w nic. Dusza ludzka mogłaby być śmiertelną wtedy, gdyby zależała od materii. Wiemy jednak, że tak nie jest, gdyż dusza nie ma nic wspólnego z materią. Duszę ludzką mógłby tylko sam Bóg obrócić w nic. Jednakże Stwórca nasz nie czyni tego nigdy, ponieważ stworzył człowieka na obraz i podobieństwo swoje — On jest nieśmiertelny, a nawet wieczny. Daru nieśmiertelności udzielił aniołom i duszy ludzkiej.

Nie ma na świecie człowieka, który by nie szukał w życiu szczęścia i zadowolenia. Jedni chcą być wielkimi i sławnymi uczonymi. Chcą poznać tajniki wiedzy ludzkiej, a nieraz nawet swoje życie poświęcają dla zaspokojenia ciekawości. Niestety, wcześniej czy później dochodzą do przekonania, że to, co wiedzą, jest właściwie niczym. Są oni podobni — jak mawiał Newton — do dziecka, bawiącego się nad brzegiem morza jedną muszelką, podczas gdy cały ocean prawdy rozpościera się przed nimi niezglębniony. Inni znowu szukają zadowolenia w zaszczytach, bogactwie lub w używaniu wyszukanych rozkoszy zmysłowych. Ale i oni z biegiem lat dochodzą do przekonania, że nie znaleźli szczęścia. Nawet ci, którzy osiągnęli zadowolenie — obawiają się, by go nie stracić, zdają sobie sprawę z jego przemijalności, krótkotrwałości.

Czy takiego szczęścia szuka człowiek? Nie! Człowiek pragnie posiadać zadowolenie, radość i szczęście, ale nie na chwilę tylko, lecz na stałe. Nie można bowiem nazwać szczęściem tego, co przemija. Nie będzie szczęśliwym człowiek żyjący w ciągłej obawie, by tego szczęścia nie utracić. I tu przychodzi z pomocą człowiekowi wiara w przyszłe życie. Tam wszelkie pragnienia człowieka zostaną zaspokojone przez Tego, który nas stworzył dla siebie. A więc pragnienia ludzkie wypływają nie stąd, że człowiek jest nieszczęśliwy, lecz stąd, że jest nieśmiertelny.

My codziennie powtarzamy: „Wierzę w żywot wieczny”. Lecz słowa te są dla nas często pustymi dźwiękami, bez wewnętrznej żywej wiary i dlatego nie odczuwamy tej mocy nieśmiertelnej, jaką one kryją. Bylibyśmy o wiele lepsi, ofiarniejsi w całym naszym życiu, gdybyśmy sobie żywo uzmysłowili prawdę o nieśmiertelności, ona nas uchroniłaby od wielu upadków, mówi bowiem Pismo św.: „Pamiętaj na rzeczy ostateczne, a nigdy nie zgrzeszysz”. Pamiętajmy więc o tej prawdzie. Pouczajmy o niej swoje dzieci. Uświadamiajmy religijnie swoich przyjaciół i znajomych, jeżeli oni o tym zapomnieli. A wtedy możemy być pewni, że gdy proch ciała naszego zostanie złożony do ziemi, to duch nasz zwróci się do Boga, który go dał, do stojących, pełnych troski i żalu nad naszą mogiłą powie Jezus tak, jak w dzisiejszej ewangelii do rozpaczonego ojca: „Idźcie, on, ona żyje — życiem wiecznym!” (J. 4, 50). Czyńmy jego świadczą o nim. Pamięć o nim jako o dobrym bracie, ojcu, wyznawcy, obywatelu nie zginie, jak nie zginęła jego dusza — szczęśliwa i nieśmiertelna.

Ks. M. P.

PAŹDZIERNIK

N	1	Danuty, Remiglusza
Pn	2	Teofila, Dionizego
W	3	Teresy, Gerarda
Sr	4	Rozalii, Franciszka
Cz	5	Placyda, Apolinarego
P	6	Artura, Brunona
S	7	Marii, Marka

CO

DZIEJE SIĘ

W HOLANDII

Podstawą reform w Holandii są względy praktyczne, a nie dogmatyczne — stwierdził prof. Boer. Tak np. on sam w ciągu ostatnich dwóch lat spowiadał tylko 5 razy, podczas gdy dawniej spędzał całe godziny w konfesjonale. Wierni przestali przychodzić do spowiedzi. Episkopat holenderski nie mógł przejść obojętnie obok takiego zjawiska i nie ustosunkować się do niego. Episkopat holenderski wyciągnął praktyczne wnioski i wprowadził spowiedź ogólną wiernych.

Także problem celibatu rozstrzygnęła praktyka. Jest rzeczą pożałowania godną, że podczas Soboru Kuria nie dopuściła do dyskusji na temat celibatu, chociaż wiadano, że we Włoszech zawarło związki małżeńskie ok. 14 tys. księży, w Hiszpanii 10 tys., we Francji i w Niemczech — 8 tys., a w małej Holandii 400. To są fakty, których lekceważyć nie wolno.

Prof. Boer wyjaśnia, że mówiąc o podstawach praktycznych ma również na względzie zbawienie człowieka. Prorocy Starego Zakonu przepowiadali zbawienie, które w równym stopniu oznaczało szczęście na ziemi. Jezus również nie mówił tylko o chwale niebieskiej. Mówił o pokoju na ziemi. Przynosił wybawienie z każdego rodzaju biedy — zbawienie chorym, uciśnionym przez grzech, smutnej wdowie, głodującym na pustyni, ślepym i chorym. Gdzie tylko mógł uszczęśliwiał ludzi. W tym względzie nie kępował się ani sabatem, ani względem na władze kościelne. Na pierwszym miejscu był człowiek ze swoją nędzą.

Posłannictwo nasze nie byłoby posłannictwem ewangelicznym, gdybyśmy uwzględniali w nim tylko zbawienie zaziemskie. Jeśli ono już tu nie przynosi pokoju, dobrobytu, radości, wolności i szczęścia, to nie jest ono chrześcijańskie, jest pogańskie. Jeśli Kościół przez swój rygoryzm przeszkadza człowiekowi w osiągnięciu szczęścia, zmniejsza je lub niszczy — to w ten sposób przeciwstawia się ewangelii. Ma to miejsce zawsze tam, gdzie stosuje się przymus do wiary i w wierze. Dzieje się to również tam, gdzie rozbija się szczęście rodzinne Murzyna, żądając stanowczo, aby wypędził swe dwie żony, podczas gdy dotychczas był on szczęśliwy z trzema. Jezus żąda od małżonków miłości i wierności, mówi o jednożeństwie, ale nie należy zapominąć, że działał On w zasięgu kultury judejskiej, gdzie panowało jednożeństwo. Z Ewangelią w rękę nie można niszczyć szczęścia rodzinnego na obszarach, gdzie obowiązują inne obyczaje. To samo dotyczy powtórnego małżeństwa. Jest

przejawem prymitywizmu myśleć tylko o śmierci fizycznej, o śmierci ciała, gdy wymawia się słowa, które wymawiają małżonkowie, że „cię nie opuszczę aż do śmierci”. Istnieje przecież śmierć miłości, śmierć wspólnego pożycia. Takich ludzi skazywać później na życie samotne to nie po chrześcijańsku, nie po ludzku i niezgodnie z wolą Bożą. W Holandii ludziom tym, powtórnie ożenionym udziela się sakramentów św., chociaż jest to oficjalnie zakazane, ponieważ ludzie ci szczególnie potrzebują pomocy Bożej.

Kościół powinien troszczyć się przede wszystkim o dobro i zbawienie człowieka, o jego potrzeby i trudności. Jest rzeczą ważniejszą i bardziej słuszną poszukiwać razem dróg do pokoju w Wietnamie, możliwości zapobieżenia głodowi w wielu krajach niż dyskutować o międzyosobowych stosunkach Trójcy św. lub o niepokalanym Poczęciu NMP.

Wychodząc od uznania faktów i aprobowania rzeczywistości należy uznać również nauki świeckie — nauki przyrodnicze, socjologię. Kościół musi zrezygnować z chęci wypowiedziania ostatniego słowa w każdej sprawie. Po prostu w pewnych dziedzinach Kościół jest niekompetentny. Papież i biskupi upadają pod ciężarem odpowiedzialności, którą — jak sądzą — muszą ponosić.

Jakie reakcje budzą tego rodzaju poglądy w Kurii rzymskiej, czy u biskupów holenderskich? Biskupi holenderscy otwarcie lub przynajmniej milcząco popierają „eksperymenty” i projekty reform. O używaniu języka macierzystego w kanonie mszy św. np. mówią, że ani nie jest to zabronione, ani dozwolone. Pozostawiają wolność. Nikogo nie ekskomunikuje się. Naturalnie istnieją konflikty z Rzymem, ale bez konfliktów nie ma życia. Biskupi nie są wzywani do Rzymu, lecz sami jadą tam co pewien czas, aby poinformować o swojej pracy. Tam są wysłuchiwni i najczęściej nikt im nie mówi: tak, ale nie mówi też nie. I to im wystarcza.

Posłuszeństwo

A jak wygląda z posłuszeństwem wobec przepisów kościelnych?

Są dwa rodzaje posłuszeństwa: jedno niewolnicze, słucham, bo muszę i drugie kościelne, oparte na decyzji mojej wolnej woli i w tym nie może być żadnego nacisku i żadnego przymusu.

Zagadnienie nieomyślności w holenderskim katechizmie dla dorosłych zostało rozdzielone

Podajemy dalszy ciąg informacji o zmianach zachodzących w Kościele rzymskokat. w Holandii. Informacje i poglądy poniżej cytowane odbiegają bardzo wyraźnie od poglądów tradycyjnych, od tych zwłaszcza, które zwykliśmy słyszeć w Polsce. Stanowią one prawdziwą rewelację i rzeczywiście są podstawą rewolucji dokonanej w Kościele holenderskim. Czytając poniższe uwagi nie zapominać, że ich autorem jest rzymskokatolicki ksiądz holenderski, profesor egzegezy. — Redakcja.

ne na trzy problemy: problem nieomyślności ludu bożego, kolegium biskupów i na trzecim miejscu nieomyślności papieża.

Papież jest ustami Kościoła, rzecznikiem, pierwszym wiernym i jako taki jest nieomyślny. Może on orzekać to tylko, co jest zgodne z wolą i wiarą całego Kościoła. „Jestem przygnębiony i smutny — oświadczył ks. prof. Boer — że papież ogłosił encyklikę o celibacie akurat na dwa miesiące przed zebraniem się rady biskupów i tym samym uprzedził w tym względzie decyzję biskupów. Na czternaście dni przed ogłoszeniem encykliki o celibacie episkopat holenderski wysłał swego przedstawiciela do Rzymu, aby prosił papieża o wstrzymanie się z ogłoszeniem tej encykliki”.

Jak mogło dojść do sformułowania podczas I Soboru Watykańskiego, że papież jest nieomyślny sam z siebie?

Sformułowanie to było konsekwencją innego ujęcia Kościoła. Traktowano wówczas Kościół jako społeczność doskonałą. Jako społeczność — a więc podobnie jak państwo, tyle tylko, że doskonałą. W momencie rozkwitu absolutyzmu Ludwik XIV mógł powiedzieć: państwo to ja. Analogiczne stanowisko zajmował papież w Kościele w 1870 r. Uważał się za wcielenie Kościoła: Kościół to ja.

Tego feudalnego pojęcia nie można dziś usprawiedliwić. Wrażenie, że papież jest sam z siebie nieomyślny (ex sese) przy naszym dzisiejszym poglądzie na Kościół nie ma żadnego znaczenia. Dowodem przemiany pojęć w tym zakresie jest rozdział uchwał ostatniego Soboru o Kolegium biskupów. Wprawdzie papież i Kuria przechowują jeszcze ten feudalny obraz Kościoła, ale jest to sprawa przemijająca. Można więc powiedzieć, że dawniej porównywano Kościół do piramidy, na której szczycie znajdował się papież, u podstawy zaś wierni, obecnie pojęcie Kościoła jawi się w postaci koncentrycznych kół, (z papieżem w środku) które wywierają na siebie wpływ i przenikają się wzajemnie. Nikogo nie ma na górze. Zebranie biskupów będzie probierzem i dowodem.

Prof. Boer wyraził przekonanie, że rozwój Kościoła nie może być powstrzymany i nawrót do średniowiecza byłby katastrofą. Druga wojna światowa, w której wzięli w większości udział ludzie ochrzczeni uodrodną, że wiara tych chrześcijan jest słaba, skoro nie może powstrzymać ich przed wzajemnym mordowaniem się. Nieodzowne więc jest odrodzenie. Nieodzowne są przemiany.

KWAKRZY

W 1896 r. we wsi Bolesław założonej za czasów króla polskiego Bolesława Wstydliwego przystąpiono do budowy obecnej świątyni.

Rok 1901 wieńczy dzieło. Kościół został wybudowany.

Różnic duszpasterzują tutaj rzymskokatolicyce proboszczowie. Wydaje się, że byłoby krzywdą nie wspomnieć o nieżyjącym już wielkim budowniczym księdzu kanoniku Euzebiuszu Kanickim.

Przedwojenna wieś Bolesław to typowa polska wieś. Prowizoryczna kopalnia „Aleksander” nie daje wystarczających zarobków. Ludność emigruje za chlebem do Zagłębia Dąbrowskiego, które także za dużo chleba nie posiada. Wreszcie kopalnia „Aleksander” zostaje zatopiona. Zarobków i pracy brak.

Proboszczowie nie dzielili losów swoich owieczek. Za pogrzeby, śluby i chrzty trzeba było słono płacić. Jeśli nie było pełnej kwoty za pogrzeb, ograniczali się tylko do pokropku przed św. Barbarą.

Wybuchła wojna — los nie oszczędził mieszkańców. Bardzo ludzkim i wzuwającym się w potrzeby swoich wiernych był, również nieżyjący, proboszcz tej parafii ks. Jan Skalski. Ale ten nie był wygodny dla bolesławickiej arystokracji. Plotkami i intrygami pozbyto się go z parafii.

Po wojnie warunki mieszkańców wsi i okolic zmieniły się nie do poznania. Zakłady Górniczo-Hutnicze „Bolesław” stały się podstawą bytu mieszkańców. Domy zamieniły się w kamienice. Wielu mieszkańców zakupiło samochody.

W latach przed 1957 r. proboszczował tu ks. dr J. Kornobis z wikariuszem ks. Zachariaszem. Za handlowanie materiałami budowlanymi pod budowę plebanii parafianie usunęli go. Kościół zamknięto i strzeżono go dzień i noc. Nie wpuszczano żadnych nasyłanych przez Kurię rzymskokatolicką w Kielcach księży. Było bezkrońwie. Zmarłych grzebano bez kapłanów.

Aktywiści parafii Bolesław starali się o względy swego Arcypasterza w Kielcach. Jeżdżono, proszono, wszystko na próżno...

Wreszcie znaleźli drogę do władz Kościoła Polskokatolickiego. Sprowadzili ks. Michała Samborskiego. Pod hałdą Mszę św. odprawił i kazanie wygłosił. W nabożeństwie brały udział tłumy. Jednym się podobało, rozumieli, że do Boga i polską można iść drogą, inni ganili. Ci, którym się podobało jeszcze kilkakrotnie prosili o polskokatolickiego kapłana.

Dzień 1 września 1957 roku był dniem rozstrzygającym. Poproszono do Bolesława ówczesnego rządcę diecezji ks. Tadeusza Majewskiego oraz bawiącego w Polsce ks. bpa Leona Grochowskiego z USA. Wszyscy przybyli pod hałdę. Mszę św. i kazanie wygłosił ks. bp L. Grochowski. Nie zadowolono to wszystkich, poproszono, aby jeszcze u stóp patronki górników pomodlili się. A gdy wszyscy znaleźli się na ulicy Kościelnej, odezwały się dzwony z wieży. Kościół otwarto. Procesją ze sztandarami naprzeciw wyszła i wszystkich duchownych na czele z ks. bpem Grochowskim do kościoła wniesiono. Ks. Bp Grochowski przemawiał, tłumaczył, chciał udzielić pomocy na budowę drugiego kościoła. Ale perswazje na

nie się zdały. Słyszało się glosy „To nasz kościół, my go nie oddamy”. Z miejsca zebrano podpisy w liczbie ponad 7 i pół tysiąca. Kościół został w rękach parafian. Gospodarzem jest lud polskokatolicki, a administrację pełni Kościół rodzimy.

Pierwszym proboszczem był ks. Tadeusz Gotówka. Czas jego duszpasterzowania przypadł na lata ciężkie i niebezpieczne. Był to okres trudny, okres sądów, o wszystko to, co wczoraj było własnością rzymskokatolicką.

W roku 1964 wyszedł dekret Rady Państwa, że wieś Bolesław przekształca się w osiedle Bolesław. Po ks. proboszczu Gotówce proboszczowali tu: ks. Franciszek Rumiński, a po nim ks. Kazimierz Bonczar. Ich praca duszpasterska również nie należała do łatwych.

*

Do parafii przybyłem 6 marca 1966 r. w charakterze kuratora. Tuż po świętach wielkanocnych przystąpiłem do remontu wikarówki i organistówki. Jednocześnie trzeba było zagospodarować ziemię. Lecz z pustego i Salomon nie należy. Pomogli mi i zyczliwi i oddani parafianie.

Z dnem 1 maja tegoż roku Prezydium Kościoła mianowało mnie proboszczem tej parafii. Dziękując, zapewniłem swoje władze, że pokładanych nadziei nie zawiodę. I moim skromnym zdaniem, nie zawoźdę. Zdawałem sobie sprawę, że los nie będzie mi szczydził kłopotów i zmartwień. Rzeczywiście odczuwałem to wyraźnie... Po przeprowadzeniu lokalizacji i otrzymaniu pozwolenia przystąpiłem do budowy plebanii. Przy nawale pracy odbyła się konsekracja nowo wybranych elektów na biskupów. W niedługim czasie wraz z całą parafią gościłem naszych braci z Polonii amerykańskiej. A kiedy budowa znalazła się w pełnym toku, otrzymałem wezwanie na rozprawę sądową o materiały budowlane. Strona rzymskokatolicka wytoczyła proces.

Zelektryfikowałem dwa ołtarze. zakupiłem trzy stuly, za blisko 15.000 zł zakupiłem trzy nowe gotyckie ornaty. Założenie biura parafialnego z pełną ewidencją parafian nie należało także do rzeczy łatwych. Samo opanowanie terenu parafii pochłonęło wiele czasu, prowadzenie budowy, sprowadzenie materiałów... Do tego dodać trzeba, że czekają mnie jeszcze prace organizacyjne Bukowna Osiedla.

W dniu 5 września uchwała Prezydium Rady Kościoła przez Kurie Biskupią w Krakowie zostałem zamianowany dziekanem. Wielka szkoda, że kościół nasz nie dysponuje odznaczeniami, bo z całą satysfakcją kilka osób z parafii typowałbym do tego wyróżnienia. Na wielkie uznanie zasługuje nasza Rada Parafialna, która pracuje z oddaniem i solidnie... Pracę naszą oglądają turyści, wycieczkowicze, oglądała wycieczka Polonii amerykańskiej — dziś oglądamy wszyscy. Parafia posiada 8 punktów katechetycznych, obsługują je dwaj księża wikariusze, utrzymywani z dotacji parafian, ofiar z kołęd i pogrzebów. W ciągu 10 lat w parafii udzielono 361 ślubów, 798 chrztów i odprawiono 398 pogrzebów. Statystyka wykazuje 7.505 osób należących do parafii.

Ks. TADEUSZ BALICKI

Wiele odłamów wyznaniowych wyszło z łona anglikanizmu. Jeden z nich posiada wiele wspólnych cech z omawianymi poprzednio mennonitami. Jest to wyznanie kwakrów.

Założycielem tego wyznania był angielski szewc Jerzy Fox. Około 1660 r. powołał do istnienia religijną organizację pn. „Towarzystwo Przyjaciół”, której członków przewano później kwakrami. Ogólnie przyjmuje się opinię, że nazwa ta wywodzi się od angielskiego słowa to quake — drżeć, lecz nie jest rzeczą pewną, co było powodem zastosowania tego słowa do zwolenników Foxa. Podobno Fox miał skarcić pewnego sędziego słowami: „Drzyj przed sądem Bożym!”, a obecni złośliwie zastosowali to do Foxa.

Kwakrzy zwalczali anglikańskie kościelnictwo, kościoły anglikanów nazywali złośliwie „budowlami wież”, a nie domami Bożymi. Zarzucali anglikańskiemu duchowieństwu dogmatyzm, pusty formalizm, religijną bezduszną. Fox, pragnąc się przeciwstawić urzędowej pobożności, począł nawet głosić, że nie tylko tradycja kościelna nie ma nic do zafiarowania człowiekowi szczerze religijnemu, lecz także Pismo św. jest w gruncie rzeczy bezużyteczne. A co jest wobec tego niezbędne? Oto „wewnętrzne słowo” lub „Boże oświecenie” dawane każdemu człowiekowi stanowi jedyny drogowskaz w dążeniu do zbawienia. Dlatego zbędne jest zarówno uczestniczenie w liturgii i sakramentach św. jak i w słuchaniu kazań. Wystarczy nabożeństwo milczenia. Chrystus nie odkupił ludzkości swoją śmiercią, lecz dał jedynie przykład uczciwego życia. Wszyscy ludzie posłuszni „Bożemu oświeceniu” mogą się zbawić, bez względu na przynależność wyznaniową.

Poza zasadami wiary kwakrzy mają odrębne zasady moralne. Przestrzegają surowo czystości obyczajów, są bezwzględnie przeciwnikami wojny, nie służą w wojsku, nie przysięgają, zakazują zabaw wszelkich i rozrywek. Wszystkich ludzi uważają za idealnie sobie równych, dlatego do wszystkich zwracają się przez „ty”, nikomu się nie kłaniają.

Wskutek prześladowania ze strony anglikanów kwakrzy wynieśli się do innych krajów, a więc do Holandii i Niemiec, aż wreszcie moim ich protektor i współwyznawca, William Penn (zm. 1718 r.) przeprowadził ich do USA, gdzie założył dla kwakrów republikę ze stolicą w Filadelfii (nazwa ta oznacza miłość braterską). To państewko już w 1688 r. zaprowadziło u siebie zupełną wolność religijno-społeczną i zniszcło niewolnictwo.

W ostatnich czasach kwakerska wspólnota szybko się kurczy, zwłaszcza na terenie Ameryki, mimo że to ona w głównej mierze przyczyniła się do stworzenia Stanów Zjednoczonych. Wszystkich kwakrów w USA i Anglii liczy się na około sto tysięcy.

Ks. S. W.

KRÓLEWSKIE

MEZALIANSE

Poczekajmy jeszcze kilkanaście lat, a być może nasi rolnicy przestawią się na hodowlę nieznaną dotąd w świecie odmiany bydła. Jeżeli do tego dojdzie, odmiana otrzyma nazwę białowieskiej albo, żeby atrakcyjniej brzmiało, żubrzej. Znaczący trunków w Polsce i poza nią wiedzą, że jest dobra wódka z żubrem na etykiecie, zwana „Żubrówką”, ponieważ jej smak a nawet zabarwienie nadaje rosnąca w Puszczy Białowieskiej trawa zwana żubrówką. W Białowieży fachowcy leśni, a nawet dozorca rezerwatu żubrów, uśmiechają się pobłaźliwie i dobroduszenie, gdy się ich pyta o tę trawę. Jest ona pod ochroną jako gatunek zagrożony zaniknięciem, ale każdy białowieski leśnik dobrze wie, że żaden żubr tej trawy nie dotknie. Żubry jej wręcz nie lubią i z daleka ją omijają. Łączenie więc na etykietkach „króla puszczy” z nielubianą przez niego trawą jest zwykłym nieporozumieniem. Ale nigdy nic nie wiadomo, może żubry jeszcze polubią tę trawę podobnie jak zaczynają zmieniać swój stosunek do bydła domowego, którego też nie lubią, odnoszą się doń z pogardą i wyraźnym lekceważeniem.

Wydawałoby się, że żubry i bydło domowe są bardzo bliskimi krewniakami. I tak i nie. W każdym bądź razie doprowadzenie między nimi do małżeństwa jest przedsięwzięciem bardzo trudnym. Próby robiono dawno, przed 1863 rokiem eksperymentował w tej dziedzinie ziemianin spod Mińska, M. Walecki, twierdził, że jest na dobrej drodze. Niestety dalsze eksperymenty uniemo-

żliwiła mu konfiskata majątku po upadku Powstania Styczniowego, którego był zwolennikiem.

Podjął je dopiero przed kilku laty z inicjatywy prof. Augusta Delineta, Zakład Badań Ssaków w Białowieży. Hybrydyzacja, czyli mieszanie gatunków, rodzajów lub ras świata zwierzęcego albo roślinnego przynosi różne wyniki. Najtrudniejsza bywa hybrydyzacja międzyrodzajowa i do niej należą próby krzyżowania żubra z domowym bydłem. Krzyżować można na dwa sposoby — raz krowie dobiera się partnera z przedstawicieli żubrów, drugi raz żubrzyca otrzymuje za partnera buhaja. To ostatnie zestawienie związane jest z ryzykiem i Białowieża stała się pierwszym ośrodkiem badawczym, w którym zdecydowano się na nie. Różnice w budowie anatomicznej stwarzają niebezpieczeństwo śmierci żubrzycy przy wydawaniu na świat potomka z krzyżówki z buhajem i na to ryzyko właśnie zdecydowano się. Kłopoty pojawiły się jednak znacznie wcześniej, już na pierwszym etapie „swatania”.

Zorganizowano dwa doświadczalne stadka złożone z półrocznych sztuk. W jednym z nich kilka żubrów dostało do towarzystwa byczka, w drugim stadku krów przydzielono młodego żubra. Rozpoczęła się obserwacja zachowywania się obu grup, przebieg wzajemnego osuwania się. Jałowice okazały się bardziej przychylnie dla swojego żubra. Początkowo stroniły od niego — ale z wyraźnym respektem dla jego potężnej postaci, jakby się bały kolosa, który jednak co-

raz wyraźniej zaczynał przejawiać swoje zainteresowanie krowią młodzieżą, za to żubrzyce najwyraźniej bojkotowały buhajka. Tolerowały go, gdy trzymał się z daleka ale najmniejsze skrócenie dystansu kwitowały żłymi spojrzeciami a gdy wydawało im się, że buhajek zaczyna się spoufalać pochylały łby i atakowały go. Buhajek uciekał i był całkiem skonfundowany. Zapewne z zamiaru skojarzenia małżeństwa nic by nie wyszło, gdyby obserwatorzy nie przełamali w buhajku kompleksu niższości i nie poskromili pychy zarozumiałych żubrzyce. Pewnego razu gdy najbardziej pewna siebie żubrzyca chciała raz jeszcze znieważać byczka, popchnęła go na nią. Oskoczyła w bok zdziwiona, jeszcze raz popchnięto byka, żubrzyca znowu się cofnęła. Byczek widząc to nabrał wiary w swoje siły i z własnej inicjatywy zaatakował żubrzycę. Uciekła jak niepyśzna. Nastąpił przełom. Samice zaczęły uznawać buhajka i wkrótce objął on przewodnictwo nad stadem.

W stadzie tym urodziło się kilka mieszańców a porody, o dziwo odbyły się bez przykrych komplikacji. Sukces ZBS był duży. Młode miały maść żubrów, były kształtne i przybrane były w „białe skarpetki” u rąbic. Natomiast wystąpił bardzo interesujący i trudny do wyjaśnienia objaw. Niezależnie od tego czy matką była krowa, a ojcem żubr, czy też odwrotnie, młode hybrydy potrafiły porozumiewać się tylko z bydłem, jakkolwiek porozumienia z żubrami nawiązać nie umiały.

Młode cielę odchodzi w las i wcale nie reaguje na charakterystyczne chrapanie matki-żubrzycy, nawołujące je do powrotu. Dopiero gdy buhaj szedł za nim, potrafił je z lasu przyprowadzić do zagrody.

Krzyżowanie żubrów z bydłem ma cele praktyczne. Chodzi o zbadanie możliwości wprowadzenia nowej odmiany lub rasy bydła zasilonego krwią „władców puszczy”. Nie wiadomo jeszcze jakie będą ostateczne rezultaty. Spodziewać się należy, że mimo wszystko samce z mieszanych par nie będą płodne, podobnie jak niepłodne są muły. Hybrydki zaś będą miały mleko o wysokiej wartości tłuszczu, będą dawały mleka więcej niż krowy i będą mogły mieć dzieci zarówno z buhajami jak i żubrami. Jako sztuki różne hybrydy okażą się cenniejsze od bydła. Będą dawały więcej masy mięsnej o dobrym smaku. Skóra z hybrydów będzie gęsta i gruba o dużej odporności. Nie bez znaczenia gospodarczego pozostawałby też szybki, a więc rentowny, przyrost cieląt na wadze. Niektórzy wyrażają obawy, co do kłopotów sprawianych hodowcom przez młodych mieszańców, oczekują, że miałyby one w sobie żubrzą dzikość i byłyby bardzo niebezpieczne przy obsłudze. Białowieskie doświadczenia nie potwierdzają takich obaw, chociaż na pewno natura mieszańców jest inna od natury bydła i hodowcy powinni być przygotowani na takie odmienności.

Doświadczenia z krzyżówkami stanowią osobny rozdział w historii białowieskiego żubra. Jest to historia długa i interesująca, pełna namiętnych sporów naukowych. Przeciętny Polak sądzi, że właśnie żubr jest największą atrakcją Puszczy Białowieskiej. I myli się. Był ale został przysłonięty, małą zwykłą myszką. Dziś mysz białowieska zrobiła furorę w świecie. Jak i kiedy — w następnym reportażu z serca Wielkiej Puszczy.

R. ŁAPIŃSKI





Rozmyślania pod jabłonią

Przed drzwiami lekarza uformowała się już długa kolejka. Kilka kobiet stoi w grupce, pali papierosy i szczegółowo omawiają rodzaje swych dolegliwości. Inne, siedząc na krzesłach czytają, robią na drutach i leniwie spoglądają na zegar. Co chwila przybywa ktoś nowy. — Kto teraz wchodzi? Pani jest za mną? Nie, przede mną jest jedna nani, która zeszła na chwilkę do rejestracji. O, ta pani w żółtej sukni, właśnie idzie! — Takie i temu podobne zdania to znany nam dojrze obraz kolejki. Oczekiwanie stwarza coś w rodzaju chwilowej zażyłości i solidarności. Wszystkie już jesteśmy „swoje”.

W pewnej chwili do grupki oczekujących zbliżyła się zdecydowanym krokiem wysoka kobieta. Mówi — przepraszam — kobiety odruchowo usuwają się, a ona naciska klamkę i wchodzi do gabinetu. Ten incydent pozostaje jakby niezauważony. Kobiety jeszcze chwilę rozmawiają dalej, lecz nagle „hudza się”. Krzyżują się pytania i odpowiedzi: — Za kim ona stała? Dlaczego panie ją przepuściły? Kto to taki? Dlaczego weszła bez kolejki?

Tymczasem kobieta z zadowoloną miną wychodzi już z gabinetu. Nie zważając na gniewne okrzyki kobiet defiluje korytarzem z politowaniem patrząc na długie kolejki u poszczególnych drzwi. — Trzeba umieć! — rzuca ktoś za nią. — Trzeba być bezczelnym — dodaje ktoś inny. Ale w tych słowach brzmi nutka mimowolnego podziwu...

Autobus PKS ma ograniczoną ilość miejsc. Przez miejscowość X nie przebiega żadna linia kolejowa więc wszyscy wyjeżdżający w jakiejś sprawie muszą korzystać z PKS-u. Konduktorka stoi u wejścia i swobodnie reguluje ruch. W pewnym momencie tarasuje wejście. — Miejsce nie ma! — Jakaś kobieta zaczyna prosić — Niech pani wypuści mego męża. Jedziemy do lekarza, a do stacji jest 7 kilometrów. — Nic na to nie poradzę — odpowiada niewzruszona konduktorka. — Miejsce nie ma — Ale to on jedzie do lekarza, ja tylko wsiadam pierwsza. — Więc niech pani wysiadzie, a zamiast pani pojedzie mąż. — On nie może sam jechać! — Więc proszę mi nie zawracać głowy i jechać następnym autobusem. — To przecież dopiero za dwie godziny! — Trudno nic na to nie poradzić! — Kobieta wysiada. Chwilę stoi jeszcze przed autobusem, razem z grupką oczekujących, że a nuż coś się zmieni. Konduktorka zamyka drzwi. Szofer zapuszcza motor. Ludzie odsuwają się. W tym momencie dwaj eleganccy panowie z teczkami naddbiegają pospiesznie. Roztrzaskują ludzi i wsiadają do ruszającego autobusu. Chwilowa dyskusja z konduktorką. Autobus rusza! — Pojechali! — wykrzykuje kobieta z chorym mężem. — Widzicie państwo, dwoch ich było i pojechali! — Ktoś konkluduje — To trzeba umieć!

W domu wczasowym recepcjoniści hodowali małego jeża. Znaleźli go tuż nad potokiem przy szosie. Miał zakrwawiony pyszczek i poranioną nogę. Pod troskliwą opieką szybko wyzdrowiał i zadomowił się. Czasami wynoszono go do przydomowego parku i wypuszczono na trawnik. Jeż chwilę kręcił się tu i tam i bezładnie znajdował drogę do swego legowiska w recepcji. Zwijal się w znajomym miękkim kąciku i przysypiał cały dzień. Wychodził dopiero w nocy. Był łagodny i oswojony. Nie bał się ni dzieci ni dorosłych. Pewnego wieczoru, wcześniej niż zwykle wywędrował do hallu. Dzieci już spały, zaledwie kilka dorosłych osób leniwie przglądało gazety przy stolikach. Zbiegli się wszyscy, przykuęci wokół i zachwycali jeżem — A jaki śliczny, a co jada, jakie ma zwyczaje i kiedy wróci na wolność. — Recepcjonista starał się odpowiedzieć na wszystkie pytania i wyszedłszy ze swej budki nie zauważył zapóźnionego i zmokniętego wczasowicza, który przyszedł po klucz.

— Recepcja! — rozległo się nagle gromko i wszyscy podnieśli głowy. — Co to za zwyczaj, żeby nikogo nie był! — Już panu służyć! — recepcjonista pospieszył, lecz wczasowicz zrobił kilka kroków i stanął nad przykuęciętym towarzystwem. Zobaczywszy jeża, zaczerwił się i krzyknął: — To skandal! To maitretowanie zwierzęcia! Dam zaraz znać do Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami, że tutaj dręczy się zwierzę! Zapłacicie wielką grzywnę! — I zanim ktokolwiek zdążył zbudzić się z osłupienia porwał zwierzątko i ruszył ku drzwiom. Idąc perorował głośno: — Jeż musi być na wolności. Musi biegać po lasach. To nieludzkie, to podłe! Już ja wam pokażę!

Dopiero trzask drzwi wyjściowych ocucił zebranych. Rzucili się ku wyjściu i... stanneli niezdecydowani. Na dworze lato. Sylwetka w nieprzemakalnym płaszczu przekraczała już szosę i zbliżała się do krzaków porastających potok. Recepcjonista — młody chłopak — biegł z latarką. — Przecież jeż nie przejdzie potoku, żeby pójść do lasu — wołał — Zginie pod jakimś samochodem! — Wybiegł tak jak stał w deszcz, ale wczasowicz już wracał. Spojrzawszy na zebranych krzyknął na nich z góry. — A na państwa to podam skargę do Towarzystwa! Dręczyciele! Jak się pani nazywa? — zwrócił się do pierwszej ze stojących kobiet. Wszyscy bez słowa, jak skarczone dzieci szybko się rozeszli. Tylko długo jeszcze w krzakach nad potokiem, wśród deszczu migotała latarka młodego recepcjonisty...

Musimy przyznać, że bezczelność robi na nas duże wrażenie. Człowiek, który stawia na swoim z łupetem, nie oglądając się na innych, wbrew wszelkim racjom i zwyczajom — konsternuje i wprowadza w zaskoczenie. Zanim otrząśniemy się z tego, on już wszedł bez kolejki, pojechał autobusem — słowem narzucił swoją wole innym i wyściagnął doraźną korzyść dla siebie lub też dogodził swojemu humorowi czy zachciance. Wystarczy pewna siebie mina, gromki głos i zachowanie sprawiające wrażenie, iż ON MA PRAWO. Tracimy na moment trzeźwość sądu, usuwamy się, wpadamy w konsternację i powstaje w ten sposób szczelina, w którą wciska się bezczelny typ aby zatłwić swoją sprawę.

Ta postawa zyskuje nawet u nas mimowolny podziw. — To trzeba umieć! — szepczemy i przyznajemy tym osobnikom tego rodzaju jakąś wymyśloną wyższość nad nami. Taki moment trwa zaledwie chwilę, wystarczy aby ktoś otrząsnął się szybciej niż inni i zareplikował, wówczas wracamy natychmiast do równowagi i przywołujemy „bezczelniaka” do porządku. Zwykle jednak działa on szybciej niż my.

Postępowanie takie wyskakuje sobie w kołach młodzieżowych nazwę „metody na bezczelniaka” i przyznaje należyte posługuje się nią na coraz szerszą skalę i z coraz to większym powodzeniem. Nie chodzi tu o jakiegokolwiek rację, czy poczucie słuszności. Metoda jest po prostu skuteczna i można nią wiele zdziałać. „Nie łamać się”, „trzymać twardo” wbrew wszystkim i wszystkiemu. Na zwróconą uwagę odpowiedzieć drwiną, wymusić pierwszeństwo siłą, zaprzeczyć się „w żywe oczy” aż do chwili gdy namacalnie dowody zmuszą do zmiany postępowania, a i wówczas jeszcze gorączkowo kombinować jaka następna metoda „na sierotkę”, „na kolegi” czy „na ofiarę” będzie miała największe szanse powodzenia.

Te drobne, codzienne przykłady jakie podaliśmy na początku, niby nie groźne i jakby na wpół prywatne, to właśnie powszechne objawy stosowania w praktyce powyższej metody. A, że jest ona coraz powszechniejsza, każdy z nas wie z własnego doświadczenia. „Mocni ludzie”, ci „co umieją”, którzy wszędzie nas ubiegają, wypchną z tramwaju, odtrącają od lady, sprząną bilet „przed nosa” i zajmą nasze miejsce — to właśnie ci, co stosują na co dzień powyższą metodę.

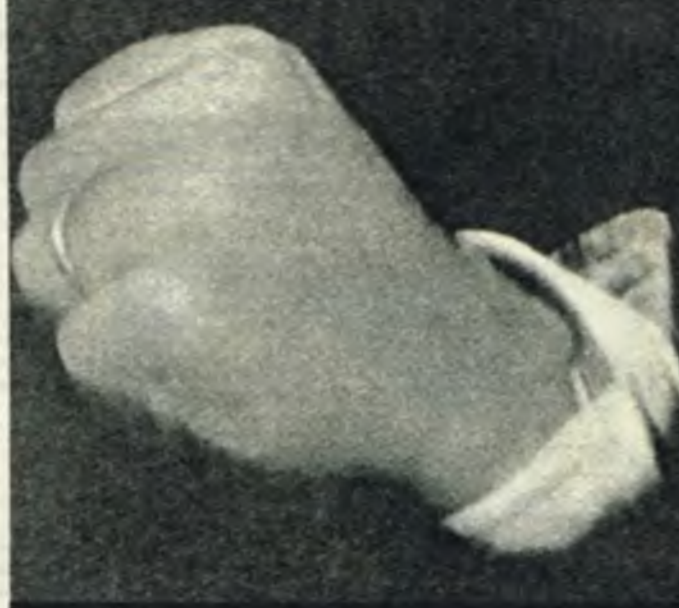
Czy zawsze musimy im ustępować i dać się ubiec? O ile nie zdobędziemy się na szybki refleks i zdecydowane działanie — tak. Jedyne natychmiastowa replika i niepoddawanie się uczuciu spłoszenia i mimowolnego zaskoczenia daje nam sposób na takie osoby.

Konduktorka winna była usunąć obu panów z PKS-u skoro nie przyjęła kobiety z chorym mężem. Zdecydowana postawa kobiet w kolejce u lekarza zmusiłaby energiczną panią przynajmniej do ujawnienia JAKIE PRAWO przwala jej wejść bez kolejki itp.

A więc: — uwaga na „bezczelniaków”!

HABER

JEŻ CZYLI METODA



NA BEZCZELNEGO

W walczącej Warszawie

Od idei powstania do „Burzy”

Walcę z okupantem hitlerowskim w Polsce projektował londyński ruch oporu i to w formie powszechnego powstania w całym kraju. Było to główne zadanie stawiane przez generała Sikorskiego zarówno ZWZ-owi w 1940 roku, jak i AK. Gen. Sikorski podkreślał przy tym nastawieniu, że projektowane powstanie musi być starannie przygotowane i zsynchronizowane z działalnością bojową wojsk sprzymierzonych, gdyż może być ono wywołane tylko raz, jeden i „nie może się nie udać”.

Tymczasem w listopadzie 1943 roku uznano projekt powszechnego powstania za niewłaściwy. Podstawą do zmiany tej koncepcji było przeświadczenie, że cofający się front wschodni spowoduje zalanie Polski przez silną armię niemiecką. Wprawdzie cofająca się, ale silniejsza od AK armia niemiecka była lepiej uzbrojona. Ponadto rząd emigracyjny powiadomił dowództwo AK, że Anglosasi nie udzielią Polakom Silom Zbrojnym w kraju pomocy z powietrza. W tym stanie rzeczy zaplanowano nowy wariant walki, zwany akcją „Burza”.

„Burza” przewidywała dla Warszawy następujące zadanie: oddziały posiadające dostateczne uzbrojenie miały w chwili wkroczenia frontu do Warszawy opuścić miasto, przejść na teren podokręgu „Zachód” („Hajduk”) obszaru warszawskiego i wziąć udział w walkach wzdłuż najważniejszych linii komunikacyjnych, prowadzących na zachód. W mieście pozostać miały oddziały przerna-

czone do obrony ludności. Do zadań ich należało również opanowanie tych rejonów miasta, przez które nie przebiegały ważne dla Niemców arterie komunikacyjne. Główne trasy miały pozostać wolne, aby ruch niemiecki mógł się na nich odbywać swobodnie i bez przeszkód.

W marcu 1944 r. zrezygnowano i z tego zadania, wyłączając Warszawę w ogóle z akcji „Burza”, aby ochronić stolicę przed zniszczeniem. Zadaniem Stołecznego Korpusu AK — według tej nowej koncepcji — miała być interwencja zbrojna jedynie w wypadku, jeżeli Niemcy zarządzą ewakuację mieszkańców Warszawy. W zasadzie garnizon warszawski AK miał odesłać 4000 dobrze uzbrojonych żołnierzy na teren „Hajduk” (rejon Skłerniewic). Równocześnie zrezygnowano z osłony i pomocy podokręgu „Struga” i „Hajduk”, a nawet w dniu 5 lipca 1944 r. inż. Jankowski, delegat londyńskiego rządu na kraj wysłał do ówczesnego polskiego premiera w Londynie Mikołajczyka depeszę, w której powiada: „proponujemy zastanowić się czy nie dałoby się drogą międzynarodową, przy pomocy presji opinii publicznej, skłonić Niemcy do uznania za miasta otwarte Lwowa, Wilna, Warszawy, Krakowa, Poznania, albo przynajmniej niektórych z tych miast”. Jeszcze przedtem dowództwo AK od marca 1944 r. rezygnuje ze zrzutów broni dla Stolicy.

W dniu 18 lipca armia radziecka rozpoczęła znad Bugu piorunującą ofensywę w kierunku środkowej Wisły i Warszawy. 20 lipca pułkownik Staufenberg dokonał zamachu bombowego na Hitlera. 21 lipca powstał powołany przez Krajową Radę Na-



Ulica warszawska w czasie powstania

NAJEMNICY

Do raz pierwszy pojawili się w 1960 r. w Kongo. Mojżesz Czombe zorganizował 1200 białych najemników dla obrony niepodległości Katangi przeciwko jednostkom Narodów Zjednoczonych. Później w styczniu 1964 r. rząd centralny zapośredniczył do najemników, aby stłumić bunt племені Simbu, walczącego pod hasłami Lumumbi. Odtąd najemnicy nie opuścili Kongo. Kontrolowali

wali armię kongijską i stanowili ochronę obecnego szefa Kongo gen. Mobutu.

Gen. Mobutu dostrzegł jednak, że najemnicy stanowią poważną siłę i lękał się, czy nadarzącej się okazji nie opowiedzą się za Czombem. Mobutu przestał płacić i najemnicy zbuntowali się.

Kim są ludzie, którzy za pewną opłatą zobowiązują się walczyć, przelewać krew i ginąć? W większości są to byli wojskowi belgijscy, francuscy, włoscy, hiszpańscy i niemieccy. Oficerowie i podoficerowie usunięci z armii francuskiej po ataku OAS. Ludzie, którzy zasmakowali w zabijaniu... Którzy widzą w tym najlepszy sposób zarobkowania...

Przeciętnie miesięczne pobory najemnika, zwykłego żołnierza, wynoszą 500 do 700 dolarów, oficera 700 do 1000 dolarów.

W jednej z hiszpańskich gazet ukazał się wywiad z najemnikiem Gonzalesem. Posłuchajmy.

— „Otrzymywałem pobory od Mobutu jak wszyscy najemnicy 800 dolarów, nie licząc premii za udział w niebezpiecznych akcjach oraz łupy wojenne co łącznie przewyższało niekiedy zwykle pobory dwu- i trzykrotnie. Zaangażowałem się przed rokiem. Obecnie mam mieszkanie i dość pieniędzy, aby żyć spokojnie...”

Ostatnio wynikła głośna sprawa z najazdem najemników na Kongo. Szefami tej napaści byli Francuz Bob Denard i Belg Jean Schramme.

Denard ma 38 lat. Od szesnastu lat pozostawał w wojsku. Najpierw w Indochinach, później w Maroku, w Kongu, w Jemenie, znowu w Kongu pod rozkazami Mobutu, a później przeciw Mobutu. Nazywają go „żandarmem Kongo”. Mobutu mianował go pułkownikiem. Ranny w czasie walk zdołał zbiec do Rodezji.

Denard uważa całą armię kongijską za bandę buntowników, która terroryzuje i ograbia ludność. „Mobutu nie umie wprowadzić porządku wśród nich” — twierdzi.

Belg Schramme ma 37 lat, jest synem znanego adwokata, sam był plantatorem kawy. „W służbie Mobutu — oświadcza — pilnowaliśmy porządku w tym kraju budowaliśmy drogi i mosty, zwalczaliśmy rebelie...”

Istnienie najemników i ich działalność pograża kraj w coraz większą anarchię i przyczynia się do rozlewu krwi nieszczęśliwych mieszkańców Kongo.



GROZA I PIĘKNO PUSTY





Powstańcy opuszczają Warszawę

Gen. Bor-Komorowski
w kwaterze von dem Bacha



rodową i Związek Patriotów Polskich ludowy rząd polski — Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego, który szybko przystąpił do działania. W ramach oddziałów radzieckich nacierających w kierunku Wisły i Warszawy znajdowała się I Armia Polska. W tym stanie rzeczy londyńskie kierownictwo w kraju i na emigracji decyduje się utrzymać władzę w kraju w swoich rękach i to za każdą cenę. 26 lipca Mikołajczyk wyjeżdża do Moskwy, a dzień po tym Komenda Główna i Korpusu Stołecznego AK zarządza stan czujności w Warszawie, powiadamiając Londyn o swej gotowości do akcji „Burza” na terenie stolicy.

Tymczasem 27 lipca 1944 r. 9 armia niemiecka przystępuje do prac fortyfikacyjnych w rejonie Warszawy. O godzinie 17 gubernator Fischer wzywa ludność stolicy, aby stała się rano 28 lipca do kopania rowów strzeleckich. W odpowiedzi dowódca Stołecznego Korpusu AK gen. Monter-Chruściel wydaje samowolnie rozkaz nakazujący pogotowie warszawskich oddziałów AK i ockiwanie godziny „W”. Rozkaz Montera dotarł do oddziałów dopiero o 7 rano dnia następnego. Następuje pierwsza mobilizacja AK przeprowadzona zresztą w sposób urągający wszelkim zasadom konspiracji.

Gen. Bór o godz. 16 tegoż dnia nakazał odwołanie pogotowia do stanu czujności. Gen. Monter znowu wykonał ten rozkaz tylko połowicznie, wprowadzając w szeregach AK zamieszanie. Wystąpił on również pod adresem Komendy Głównej AK z postulatem wyznaczenia godziny „W” na 17, motywując to tym, że łatwiej mu będzie wykonać mobilizację w czasie dnia.

Bór żądał bombardowania Krakowa i Łodzi, a przede wszystkim okolic Warszawy; domagano się od nas, aby polskie myśliwce (w RAF było ogółem 14 dywizjonów polskich wówczas) wylądowały w Warszawie

(chodziło nie o samo miasto — tylko w rejonie Puszczy Kampinoskiej, gdzie były przygotowane lądowiska) i wzięły udział w walce. Trzecie żądanie było również niewykonalne, a dotyczyło desantu polskiej brygady spadochronowej (gen. Sosnkowskiego, którą Anglicy we wrześniu 1944 r. rzucili pod Arnhem, gdzie uległa prawie całkowicie zagładzie) na terenie Warszawy (chodziło o lotniska Okęcie lub Bielany).

Istniało jedynie kilka szans wykonania czwartego zadania, ale również nie w stopniu, w jakim domagali się tego Polacy. Żądali oni znacznego zwiększenia zrzutów, przede wszystkim ciężkich karabinów maszynowych.

Wyznaczając „W” na dzień 1 sierpnia godzina 17 — nie zastanowiono się, że będzie to już druga mobilizacja oddziałów AK na terenie stolicy w ciągu 5 dni, mobilizacja korpusu liczącego około 50 000 żołnierzy. Druga koncentracja miała się ponadto odbyć w warunkach o wiele gorszych niż pierwsza. Niemcy bowiem opanowali już całkowicie Paniekę w swoich urzędach. W rejon Warszawy przyszła nowa dywizja pancerna „Herman Göring”. Silne patrole piechoty i na samochodach pancernych znowu krążyły po ulicach stolicy. Ponadto generałowie Bór i Monter nie przeanalizowali wariantu osłony i odsieczy dla Warszawy z podokręgów „Struga” i „Hajduk”. Co więcej, na terenie stolicy zatrzymano sztab komendy obszaru z gen. Laszczem-Albinem Skroczyńskim, pozabawiając w ten sposób oddziały obszaru kierownictwa wojskowego. Przyjęto też walki jedynie siłami stołecznego korpusu przy jego całkowitej izolacji od reszty sił AK, a nawet nie wydano rozkazu do akcji „Burza” na kierunkach spodziewanej odsieczy niemieckiej.

II mobilizacja stołecznego Okręgu AK, jak należało się tego spodziewać, wypadła źle.

U lubionym tematem książek o podróżach jest „fata morgana”. Jednakże nie istnieje ona w formie, w jakiej jest przeważnie opisywana, tj. jako obraz, który wabi ginącego z pragnienia podróżnika ukazującymi się na niebie cudownymi źródłami i oazami. Chodzi tu o rodzaj odbicia powietrza powstały prawdopodobnie przez nagłe rozrzedzenie się powietrza w kierunku ku górze. Sprawia to, że w ciągu krótkiego czasu wieczorem i rankiem dostrzeżę się tuż nad horyzontem teren odległy często od 50 do 100 km. Ludzie pustyni mówią o „kraju, który staje na głowie”. Zjawisko to zostało wiarygodnie stwierdzone w niewielu tylko wypadkach i spotyka się je niezmiernie rzadko. Autor w ciągu wszystkich swych wypraw pustyńnych przeżył je tylko raz jeden.

Przeciwnieństwem wyżej opisanego odbicia są normalne na pustyni odbicia ku dołowi. Występują one wtedy, gdy bliskie ziemi warstwy powietrza są cieplejsze, a tym samym rzadsze niż warstwy położone wyżej. Na granicy między ciepłem, a chłodem promienie słońca załamują się tak, że przedmioty odbijają się jak w zwierciadle wodnym-mirażu powstałym przez refleks pasma nieba na stoku tych warstw. W ten sposób zjawiają się nieistniejące kaluże i jeziora. Z kamieni wyrastają góry i wzgórza, a z kęp trawy lasy. Nierówności terenu wydłużają się w wysokie kolumny, te tworzą niewielkie wybrzuszenia i wreszcie zlewają się z podłożem. Można iść brzegiem wody, na której powierzchnia pod wpływem unoszących się soczewek powietrza powstaje wrażenie falowania. Kto próbuje zbliżyć się do samego jeziora, stwierdza, że stało się ono nagłe suche i nie pozostało nic poza szarymi kamieniami. Arabowie nazywają to zjawisko bahar-eszszataln-morze diabła. Tu można łatwo zabłąkać się, nie zaszkodzi więc przypomnieć sobie porzekadło tybuleców, że na pustyni można zrobić jeden tylko błąd...

Marco Polo podczas swej wędrowki przez pustynię Lon-Nor tak pisał w dzienniku podróży.

„Gdy w czasie nocnej wędrowki po pustyni ktoś pozostaje w tyle i zasypia, a potem stara się dogonić towarzyszy podróży, słyszy rozmawiające z sobą duchy i sądzi, że to jego koledzy. Niekiedy duchy wołają go po imieniu i w ten sposób podróży nieraz zostaje wprowadzony na manowce i nigdy już nie odnajduje swych towarzyszy. Wielu już zginęło w ten sposób. Rozmowę duchów usłyszeć można również w dzień. Niekiedy dźwięk ich głosu daje się odróżnić spośród chóru różnych instrumentów muzycznych, a częściej jeszcze słycać głosy trąb”.

ALFONS GABRIEL

OBĘDZIE SIĘ BEZ WICHERKA

Rolnicy polscy ciągle jeszcze zależą od dobrej woli Wicherka: jeśli potrzebują deszczu gromadzą się przy okienku telewizyjnym i całą siłą woli skłaniają Wicherka, aby zapowiadał deszcz. O ile zapowie... o ile przepowiednia się sprawdzi... radość wypełnia serca, a obfity urodzaj stodoły. Bez Wicherka nie ma deszczu, a bez deszczu nie ma urodzaju.

A jak sobie radzą rolnicy innych krajów, które nie posiadają ani Wicherka, ani Chmurki?

Zart żartem, ale każdy rolnik rozumie, że bez deszczu ziemia nie wyda pożądanego plonu. Prasa doniosła niedawno o tragicznej suszy w Indii. Na olbrzymich obszarach pozabawionych kropli deszczu w ciągu kilku miesięcy wyschły zboża i trawy. Ginęło bydło z braku paszy i z pragnienia. Tysiącami ginęli ludzie z głodu.

Woda ma wagę złota. Rozumie to szczególnie ludność tych krajów, które cierpią z powodu braku wody, w których nieodzwonne są bardzo kosztowne inwestycje mające na celu zapewnienie odpowiedniej wilgotności glebie dla umożliwienia wegetacji roślinom uprawnym.

Wspominamy tu o skrajnych wypadkach, ale i w naszych warunkach przydałoby się pewne udogodnienie w tym względzie. Od dawna już uczeni myślą o tym, jakby uniezależnić rolnika od kaprysów pogody. Uniezależnić przynajmniej w pewnym stopniu.

Czy takie możliwości istnieją? Nasi dziadkowie wiedzieli to tylko, że światem rządzi Bóg i w każdym wypadku o pomoc i ratunek do Niego uciekać się trzeba. Zamawiali więc składkową wotywę u księdza dobrodzieja „o deszcz” lub „o pogodę” i cierpliwie czekali na wynik modłów.

Religia uczy, że rządy nad światem sprawuje dobry Bóg i z tego tytułu jest rzeczą słuszną prosić Go o opiekę. Nie możemy jednak wyobrazić sobie, że Bóg pozostaje na naszych usługach i na każde nasze zwołanie interweniuje bezpośrednio w spra-

wy tego świata: na naszą prośbę zsyła deszcz, na naszą prośbę zapewnia pogodę... Świat żyje i rozwija się według ustalonych praw. Ten świetnie funkcjonujący mechanizm nie może mieć zahamowań stosownie do naszych chwilowych zachceń i potrzeb.

Ale człowiek został wyposażony w rozum. Ma obowiązek korzystać z tego skarbu, pomnażać go, przy jego pomocy ulepszać świat i życie. Buduje więc człowiek tamy, sztuczne zbiorniki, urządzenia nawadniające i marny... o możliwości stosowania sztucznego deszczu. Taka możliwość istnieje! — U naszych sąsiadów gospodarstwo Hadmersleben w rejonie Magdeburga posiada największe na terenie NRD „urządzenia deszczowe”. Gospodarstwo obejmuje prawie 2 tys. ha. Są to tereny szczególnie ubogie w opady, w dodatku ilość opadów zmniejsza się z roku na rok. Rok 1959 (suchy rok) miał tylko 35 przeciętnych rocznych opadów, a w konsekwencji plony buraków cukrowych wyniosły tylko 23 normalnych zbiorów. W tej sytuacji podjęto prace, które miały raz na zawsze uniezależnić rolników od kaprysów pogody. Inwestycje w Hadmersleben kosztowały 5167 mln marek. Obecnie umożliwiają one w razie potrzeby dostarczenie stu milimetrów sztucznego deszczu, czyli równo dziesięć wiader na 1 m kw. powierzchni. — Jaki jest efekt finansowy? Roczna wartość plonów wzrasta o 400 tys. marek. Biorąc pod uwagę możliwość rozwinięcia bardziej intensywnej hodowli dodatkowe roczne zyski — mogą być podwojone.

Oby coraz więcej było takich gospodarstw... i w Polsce również Wtedy obędziemy się bez łaski Wicherka.



profesora
Blachfelda

XI

Po uprzednim stwierdzeniu, czy w ogrodowej kawiarni nie ma kelnerki, która ich poprzednio obsługiwała, telefonicznie wezwał Whit Ednę by przyszła do altany. Zjawiała się punktualnie i Whit był zaskoczony jej wyglądem. Zmieniła się do niepoznania. Pozostały w niej tylko dawne rysy, wszystko zaś było inne — uczesanie, ruchy, styl ubioru. Miał przed sobą przeciętną Szwajcarkę,

czórkę szwajcarskiego chłopca, ledwie otartą o małe miasteczko w jakimś odległym kantonie.

— Witam piękną Ednę w jej metamorfozie! — lekko podniósł się z fotela.

— Nie Ednę ale Lizę, proszę nie zapominać! Długo oczekiwałam na sygnał od pana! — usiadła obok Whita.

— Byłem pilnie zajęty, wyjeżdżałem z Zurychu...

— Czy można wiedzieć dokąd?

— Do ... — zawahał się — do Bazylei.

— A mnie pan przykuł do garnuszków i froterki...

— Cóż mi pani ugotowała w tych garnuszkach?

— Robię wszystko ściśle według pańskiej instrukcji. Jestem już w przyjaznych stosunkach z panią domu, profesor przyjaźnie odzywa się do mnie, dorobiłam klucze do wszystkich zamków w szafach i biurku profesora, nieczym zawodowa złodziejka, przejrzałam kilka szuflad w tym biurku, nie znajdując w nich nic godnego uwagi. Przeszukałabym więcej zakamarków, ale profesorowa całymi dniami przesieduje w domu i przeprowadza ze mną angielską konwersację. Udzieli mi pan pochwały, czy zgani mnie? Poza tym komunikuję panu, że profesor dostał z NRF pismo, które go zmartwiło a profesorową bardzo zmartwiło. Oto odpis.

Whit szybko przebiegł wzrokiem maleńką kartkę papieru, podał ją na drobniutkie strzępy i rzucił na wiatr.

— Założyłbym się, że wymówienie renty ma ściśły związek ze sprawą ARN — 1361.

— Pewnie to jedna z form nacisku na profesora.

— Nie inaczej! A my ciągle właściwie nie wiemy, czego oni od niego chcą...

— A moje nagranie?

— Sama pani pamięta, że niektórych fragmentów rozmowy nie udało się namieścić na nitkę.

— Rzeczywiście.

— Czekam na „Arizone”. Ona powinna rozpoznać, co znaczy w świecie naukowym nazwisko — Blachfeld i w ten sposób pomóc nam. Myliłbym się bardzo, gdybym przyjął, że naszym bońskim sojusznikom chodzi o lakiery i farby. Choć diabli mogą wiedzieć, może właśnie o to im chodzi.

— Wyznam, że nie mogę przyzwyczaić się do nazywania Niemców naszymi sprzymierzeńcami. Zapewne jest to zwyczajny, subiektywny opór. Mój starszy brat, którego bardzo kochałem, został przez tych sprzymierzeńców w czasie wojny zestrzelony nad Norymbergą i jako jeńiec rozstrzelany! Wtedy nazywaliśmy ich bandytami a teraz... sprzymierzeńcy!

podróżujemy bez dewiz

HISTORIA DZIWNA I ZASKAKUJĄCA

Moment lądowania na lotnisku Brasillii zapisuje się w pamięci gwałtowną zmianą kolorów: zieleń „mata”, usypiająca oko podczas wielu godzin lotu, ustępuje miejsca przeraźliwej bieli runnwayów i dworcowych budynków. Postępowałem wraz z innymi pasażerami gęsiego wzdłuż linii prowadzącej do wyjścia i, oślepiiony jasnością, w ostatniej chwili zanotowałem niecodzienny ruch lotniska. Obok normalnej porcji samolotów komunikacyjnych lądowały maszyny wojskowe, jedna za drugą, wysypując z wnętrza zbrojne oddziały. Żołnierze pośpiesznie formowali szyki i maszerowali do podstawionych opodal ciężarówek. Nie znałem się dostatecznie na tych sprawach, nie wiedziałem, że są to komandosi armii federalnej, skierowani tu do zadań specjalnych, nie domyślałem się, że równocześnie główną drogą na południe posuwają się czołgi i inne pojazdy pancerne. Nie przeczuwałem, że odcieram się w tej chwili o niebezpieczeństwo zagrażające mi osobiście. Cóż może mieć wspólnego nieznany nikomu przybysz z Europy z manewrami wojsk federalnych Stanów Zjednoczonych Brazylii? A jednak. Nie wiele godzin upłynęło, gdy przekonałem się, że najskromniejsza nawet jednostka może wdepnąć przypadkowo w sam środek skomplikowanych akcji polityczno-militarnych i balansować na brzegu katastrofy w błogiej nieświadomości, niby Fernandę, uwikłany w krwawe rozrachunki gangsterów.

Pierwsza osoba, z którą na terenie Brasillii wymieniliśmy słów kilka, był informator linii „Vareg”, młodzieniec jugosłowiańskiego pochodzenia. Być może jakaś podskórna słowiańska solidarność sprawiła, że zmieszaliśmy się bardzo, kiedy poprosiłem go o połączenie telefoniczne z S., stale mieszkającym tu Polakiem. W skonfundowaniu, które dopiero później miałem zrozumieć i docenić, poprawnie jednak wypełniał swoje obowiązki. Telefon u S. nie odpowiadał, ale młody człowiek wypisał mi na kartce jego adres, przypominający raczej szyfr: litery SQ, potem kilka cyfr. Bowiem w Brasillii

ulice nie noszą żadnych nazw. Jugosłowianin doradził mi jak najszybciej wziąć taksówkę, zainstalować się, w którymkolwiek z hoteli, i — znowu jak najszybciej — poszukać telefonicznie S., aby zorientował mnie w sytuacji.

Nie myślałem o tych zagadkowych wskazaniach pędząc taksówką po bezkolizyjnych arteriach Brasillii. Oszołomiony ruchem architektury i zgnębiony przyziemnymi finansowymi względami (licznik) dotarłem wreszcie do hotelu „Brasillia Palace”.

Po godzinie przybył S., i opowiedział mi historię dziwną i zaskakującą. Historia ta rozpoczęła się bardzo daleko stąd, o dobrych półtora tysiąca kilometrów, w Sao Paulo, na Rua Cantareira 568, w mieszkaniu numer 13. Apartament oznaczony tym numerem składał się z kilku pokoi, wynajmowanych sublokatorom przez właścicielki, siostry Sattani. Pensjonariusz, który miał się stać bohaterem dramatu na skalę kontynentu, nie robił na otoczeniu dobrego wrażenia. Był to młody człowiek, niewiele ponad dwudziestkę, szczupły brunet o dziwnie błyszczących oczach. Nazywał się Paweł Gutko, pracował na podrzędnym stanowisku w firmie chemicznej Quimbrasil. W oświadczeniu złożonym później przed prasą siostry Filemona i Irena Sattani określiły go jako „człowieka o spokojnym usposobieniu, ale z całą pewnością nienormalnego”. Dokuczliwości ze strony Pawła Gutko dały się odczuć zwłaszcza w nocy, zrywał się z krzykiem, zaalarmowanym współmieszkańcom opowiadał, że nawiedzają go koszmarny zwidy. Duchy odwiedzały go często i na jawie, o czym informowali później dziennikarzy koledzy z pracy — Antonio Triolo i Florsival Petroso. Wszyscy znajomi wiedzieli, że uczęszcza na seanse spirytystyczne i radzili mu przerwać te praktyki, zgodnym chórem namawiali na wizytę u psychiatry. Pewnego razu usłuchał, był na badaniu u doktora schorzeń psychicznych, ze wskazaniem długoterminowego leczenia. Rzecz prosta, że wszystkie te charakterystyczne odchylenia

od normy nabrały znaczenia dopiero we właściwym czasie, gdy Paweł Gutko stał się Brazylijczykiem Van der Lube. Jeszcze na początku roku 1964 był Gutko jednym z setek tysięcy wielkomięskich mrówek roboczych, które bezmienność swoją i zagubienie starają się likwidować na seansach „macumby” i sekt spirytystycznych.

Zanim nadszedł fatalny sierpień fatalnego 1964 roku pozostałe osoby dramatu nie miały najmniejszego pojęcia o istnieniu niejakiego Pawła Gutko. Przebywały w Goianii, odległej o sto kilkadziesiąt kilometrów od nowej stolicy Brazylii, a więc w samym sercu interioru. Goiania jest niewielkim i nieciekawym miastem, zbudowanym w latach trzydziestych, wokół starej portugalskiej stacji — Goiaz Velho.

Można się domyślać, że życie w Goianii nie dostarczało na co dzień nadzwyczajnych atrakcji. Elita urzędnicza gubernatorskiego pałacu żywiła zapewne swe umysły brydżem i plotkami politycznymi z wielkiego świata. Wieści o rewolcie generałów i wypędzeniu Goularta musiały wywołać zaniepokojenie, gubernator Mauro Borges, udzielny pan na Goianii, aczkolwiek potomek starej portugalskiej rodziny Ludovico, udowadniał niejednokrotnie, że nieobce mu są ideały demokracji i postępu, oczywiście w miejscowej, a więc dosyć skromnej skali. Na domiar złego Mauro należał do goulartowskiego stronnictwa i w każdej chwili mógł się teraz spodziewać uderzenia z prawicy ze strony Cayadów, którzy przez trzydzieści lat nie mogli wyrwać władzy gubernatorskiej Ludovicom. Nie jest wykluczone, że tylko przez przekorę umieścili się Cayadowie na skrajnie reakcyjnym skrzydle, stanowiącym ostatnią podporę wojskowych „rewolucjonistów”, groźba lokalnego przewrotu w oparciu o siły wyrastające była więc aż nazbyt realna. W jaki sposób jednakże mógł być wymierzony ten cios? Tego nie wiedział wówczas ani Hobo Broockes, generalny doradca gubernatora, ani doktor

— Wiemy, droga pani Edno, dobrze wiemy, kim tańczymy wzięwszy się za ramiona. Tańczymy z wilkiem i nie z przypadku tańczymy. Łączą nas wspólna świadomość wspólnej nienawiści do czerwonej potęgi. Tę potęgę przede wszystkim my, Amerykanie, powinniśmy zniszczyć, bo inaczej staniemy się nędzami, stracimy rynki zbytu, na bankrutów wyjdą nasze koncerny i trusty, cały nasz dorobek, zaczną nami rządzić palacze kotłów i dokerzy. Czerwoni są bardzo silni. Silniejsi niż mogłoby się to nam wydawać. Tuczmy więc swoją przyjaźnią niemieckiego wilka, żeby skuteczniej potrafił skakać czerwonym do gardła...

— A potem nam...

— Czyżby zbudziły się w pani prokomunistyczne ciągoty? To niebezpieczne ...

— Może pan być spokojny, że nie jestem komunistyczną agitatorką, natomiast akademicka dyskusja jest dozwolona.

— Nad tym, co by było, gdyby było to, co nie jest, niech inni łamią głowy, my z panią mamy swoją robotę i pilnujemy swoich obowiązków.

— Stuszenie. — Zgodziła się bez wewnętrznego przekonania.

— Więc proszę mi lepiej powiedzieć, czy nie zauważyła pani jakichkolwiek przejawów ataku naszego kochanego Rodlera na dom Blachfeldów? Mam na myśli nachodze-

nie ich mieszkania przez ewentualnych przebierańców, jak inkasenci, akwizytorzy, listonosze, ludzie przypadkowo dopytujący się o adresy, snucie się niewyraźnych typów w spodniach lub w spódnicach w pobliżu domu, coś z tego...

— Niczego nie stwierdziłam.

— Na pewno?

— Na pewno.

— To źle.

— Nie rozumiem ...

— Oznacza to, że Rodler stawia całkowiec na swój kanał dojsciowy, którym jest dla niego Meyer i nie wdając się w półśrodki zamyślił frontalny atak, bez przebiegania w środkach.

— Aż tak?

— Aż tak. Na wszelki wypadek dam pani broń.

Wyjął z kieszeni mały pistolet i nieznacznie włożył go w rękę Edny.

— Zna pani ten model? Dziewięciostrzałowy, z tłumikiem — precyzyjna, ale pewna konstrukcja.

— Miałam taki. Zręczna i dobra pukawka.

— Do użytku tylko w obliczu ostatecznej konieczności.

— A ja myślałam, że do strzelania do much w zupie pani Blachfeldowej — odcięła się za przesadną uwagę Whita.

— Sama pani jest dokuczliwa jak jesienna mucha — zrewanżował się pół żartem, i poczuł, że Edna lekko trąca go stopą w nogę.

— Proszę się nie oglądać, spokojnie! — szepnęła.

— Co się stało?

— Rodler.

— Gdzie?

— Zajął stolik niedaleko altany, od strony pańskich pleców.

— Niech pani nieznacznie „weźmie go” w lusterko.

— Jak należy rozumieć jego pojawienie się? Przypadek?

— Takie przypadki nie zdarzają się w naszej sytuacji. On wie u kogo pani pracuje i najzwyczajniej, w ordynarny sposób, zaczyna deptać pani po piętach. Może to mieć nawet dobrą stronę, ale źle jest to, że Rodler może w pani rozpoznać piękną blondynkę z restauracji. Do tego nie powinno dojść! Musi pani jeszcze bardziej zmienić swój wygląd, i unikać go, jak ognia. Cholera, nie przewidziałem podobnego obrotu sprawy...

WACŁAW PAWŁOWSKI

podróżujemy bez dewiz

HISTORIA DZIWNA I ZASKAKUJĄCA

Kossobudzki, profesor Uniwersytetu w Paranie i szef służby zdrowia Coianii, ani Joao Natista Zacariotti, dyrektor gabinetu Mauro Borgesa, ani nawet sam Mauro Borges, polityk zręczny, ale stosunkowo młody, bo niewiele ponad czterdziestkę liczący.

W połowie roku 1964 nadeszły pierwsze wiadomości o tak zwanej „kasacji” progoullariowskich gubernatorów z Północy. „Kasacja”, termin dotąd nieznan, znakomicie odpowiadał stanowi faktycznemu. Nie było to odwołanie z urzędu, lecz po prostu skasowanie tej lub owej osobistości przy pomocy niewybrednych środków. Konstytucja Stanów Zjednoczonych Brazylii, w literze swojej demokratyczna, nie przewiduje możliwości odgórnego odwołania gubernatora, są to władni uczynić jedynie lokalni wyborcy, zaś czynniki federalne tylko wówczas, gdy gubernator dopuści się zdrady głównej wobec państwa. W Recife i innych gubernatorstwach Północy nietrudno było o preteksty: teren tradycyjnie radykalny z łatwością ściągał na siebie podejrzenie prokomunistycznej sympatii. Jakkolwiek nikt nie był w stanie udowodnić gubernatorom związków z podpalaczami trzciny cukrowej, sam fakt buntów chłopskich wystarczył do „kasacji”. Owszem, ale Mauro Borges? W stanie Goianii panował spokój, na niemal bezludnych, jałowych przestrzeniach „mata” nie miał się kto buntować, chyba tylko mrówki, które na znak protestu niewdzięcznej glebie budują swoje mrowiska na drzewach.

Zjawisko, któremu na imię prowokacja polityczna, zasługuje bez wątpienia na osobne studium naukowe. Inicjatorzy takich operacji muszą być ludźmi o wielkiej wyobraźni. To co nastąpiło w Goianii w końcu lipca i w ciągu sierpnia 1964 roku wskazuje na sprawność wyobraźni owego człowieka.

Tylko umysł przepojony fantazją, umysł na swój sposób twórczy, był w stanie znaleźć powiązania pomiędzy kilkoma oderwanymi faktami i wysnuć z tego „rewelacyjne” uogólnienie. Prawdą jest, że w tym czasie pojawił się w Goianii młody psychopata Paweł Gutko, rzekomy Polak z pochodzenia, a w rzeczywistości Ukrainiec, o czym władze federalne do końca nie wiedziały. Zjechał tu na wypoczynek zalecony przez psychiatrę, do ojca — nauczyciela. Prawdą jest, że doktor Szymon Kossobudzki urodził się jako syn polskiego emigranta, i że jako taki przechowywał w sobie sentyment do kraju urodzenia, lecz wcale nie z racji politycznych, gdyż hołdował poglądom liberalnej demokracji. W jej klasycznej formie. Prawdą jest wręcz, że oficjalna placówka dyplomatyczna Polski urządziła w Goianii wystawę książek i wydawnictw krajowych i zbierała pochwały zwłaszcza za szatę graficzną miesięcznika „Polonia”. Nie sposób również wykluczyć, że panowie Broockes i Zacariotti wyrażali się negatywnie o ludziach tak zwanej „linhua oluire” kto wie, czy nie w obecności doktora Kossobudzkiego. Anonimowy jeszcze wówczas twórca (dopiero później okazało się, że był nim generał Krueel) rozporządzając wspomnianymi wyżej informacjami, zabawił się jak dziecko układanką i wyprowadził z tego wszystkiego następujący wzór: skłonność progoullariowska = radykalizm, radykalizm = komunizm, komunizm = Polska. Zacariotti, Kossobudzki i Broockes zostali aresztowani przez federalny kontrwywiad wojskowy, a jeszcze przed tym nieszczęściem — Gutko, który miał odegrać rolę goiańskiego Van der Lube.

„Komunistyczni szpiegzy w otoczeniu Mauro Borgesa”, „Dygnitarze Goianii na usługach obcego mocarstwa”, „Paweł Gutko,

polski szpieg, ujawnia korupcje i działalność wywrotową (subwersia) gubernatora stanu Goias” — oto tytuły, które posypały się w gazetach kontrolowanych przez zwolenników „twardej linii”. Nietrudno było się domyślić, że „linia dura” potraktowała aresztowane osoby jak pionki na szachownicy, które miały doprowadzić do mata na osobie Mauro Borgesa. Wróble na dachu ćwierkały głośno, że dołożyli tu swej ręki Cayadowie. Przy okazji stwierdzić trzeba, że niefrasobliwość i łatwowierność czytelnik brazylijski nie żąda w takich wypadkach dowodów ani dokumentów, wypowiedziana głośno insynuacja traktowana jest jako prawda. „Rewolucyjna” ksenofobia grupy „twardych” osiągnęła spory sukces: po Chińczykach i Czechosłowakach (ci znaleźli się w więzieniach już wcześniej) z kolei Polacy uznani zostali przez pewien odłam opinii za wrogów Brazylii. Mauro Borges nie żywił złudzeń, co do wyników afery. Zamknął się w swoim pałacu, otoczonym kordonem wiernej policji stanowej. Kiedy wysłannik władz federalnych doręczył mu nakaz stawienia się przed specjalną komisją wojskową do spraw „subwersji”, oświadczył krótko: „Nigdzie nie pójdę. możecie mnie stąd ruszyć tylko siłą”. W odpowiedzi na to generał Krueel, jeden z głównych ideologów „twardej linii”, zarządził ściągnięcie do Goianii federalnych komandosów z Rio de Janeiro i Porto Alegre, tych właśnie, których widziałem na lotnisku i na szosie prowadzącej do Goianii.

— Może by warto tam pojechać na miejsce? — powiedziałem do S.

— Tylko tego potrzeba — odrzekł kwaśno. — Jako świeżo przybyły z kraju, mógłby pan świetnie uzupełnić układankę...

M. AZEMBSKI



DZIECKO WYRASTA Z NIEMOWLĘCTWA

Kiedy dziecko kończy pierwszy rok życia przechodzi z okresu niemowlęcego w okres dziecięcy. Niemowlęcy okres charakteryzowało silne związanie z matką przez karmienie piersią, pozycja przeważnie leżąca i unieruchomienie w przestrzeni, związane z brakiem umiejętności chodzenia.

Po roku wszystko się zmienia i dziecko potrzebuje trochę czasu by jego organizm i psychika przystosowały się do nowych warunków. Pozycja stojąca i chodzenie wpływa na zwiększenie się udziału klatki piersiowej w oddychaniu. Wpływa także na ustalenie się krzywizn fizjologicznych kręgosłupa i rozwój mięśni i kości. Rozwój zębów mlecznych umożliwia większe urozmaicenie diety, bardziej odpowiedniej dla szybko rosnącego organizmu. W tym okresie dziecko opanowuje mowę. Zdolność samodzielnego poruszania się w przestrzeni, wraz z mową, ma wpływ na znaczne przyspieszenie rozwoju psychicznego dziecka.

Okres od 1 do 3 roku życia jest okresem szybkiego wzrostu przy niewielkim przyroście wagi. Gdy bowiem dziecku w pierwszym roku życia przybywa przeciętnie 7,5 kg i 25 cm wzrostu, to w 2-gim roku życia około 2 kg i 12 cm wzrostu, a w 3-im roku życia także około 2 kg przy 5-7 cm wzrostu. Stąd często daje się zaobserwować, że dzieci bardzo pulchniutkie jako niemowlęta, gwałtownie szczupleją w 2-3-cim roku życia. Często niepokoi to bardzo rodziców dopatrujących się u dzieci jakiegoś schorzenia, które spowodowało to „chudnięcie”, tymczasem jest to normalne dla wszystkich

dzieci, a spowodowane jest jak się przypuszcza silniejszym wpływem gruczołu dokrewnego — tarczycy na rozwój organizmu dziecka.

W tym okresie między 1 a 3-cim rokiem życia zmniejsza się u dzieci ilość schorzeń dróg pokarmowych, odporność skóry na zakażenia znacznie wzrasta, częściej zaś występują schorzenia dróg oddechowych, a wobec chorób zakaźnych wiek ten jest wyjątkowo niekorzystny. W tym bowiem okresie organizm dziecka utracił już wrodzoną odporność po matce, własną odporność fizjologiczną ma jeszcze słabo rozwiniętą, również słabo jest jeszcze rozwinięty układ limfatyczny, który u starszych dzieci spełnia jakby rolę „filtru” dla bakterii, i wreszcie w tym okresie wzrasta chłonność tkanek dziecka dla jądów bakteryjnych. Toteż dzieci tego wieku chorują często na choroby zakaźne i to chorują nieraz dość ciężko. Mimo wszystko śmiertelność dla tego okresu jest wyraźnie niższa niż w wieku niemowlęcym, choć zachorowalność nadal jest jeszcze wysoka.

dr ANNA MAŁUSZYŃSKA

Wytnij ten kupon. Opisz dokładnie sprawę w liście do redakcji, a otrzymasz bezpłatną poradę prawną.

Odpowiedzi prawnika

P.J.W. — Zachówek w wys. 23 wartości udziału spadkowego, który by przypadł przy dziedziczeniu ustawowym, przypada spadkobiercy wówczas jeżeli jest trwale niezdolny do pracy. W Pani zaś przypadku zachówek wynosi połowę wartości udziału. Mówi o tym art. 991 Kodeksu Cywilnego.

P.W.P. Sprawy Pana interesujące reguluje ustawa z dnia 27 kwietnia 1956 r. o prawach i obowiązkach nauczycieli, ogłoszona w Dzienniku Ustaw nr 12 poz. 63 z r. 56.

Na podstawie tej ustawy ferie szkolne są okresem urlopu wypoczynkowego dla nauczyciela.

Nauczyciel zatrudniony w placówce, w której zajęcia trwają nieprzerwanie przez cały rok kalendarzowy otrzymuje urlop wypoczynkowy w wymiarze 30 dni w czasie ustalonym w planie urlopów.

Nauczycielom zatrudnionym w zakładach opiekuńczo i leczniczo-wychowawczych oraz w przedszkolach przysługuje prawo do urlopu wypoczynkowego w wymiarze 6 tygodni w czasie ustalonym w planie urlopów.

Wydaje się, że ten ostatni przypadek dotyczy właśnie Pana. Delegowanie na kurs w czasie urlopu wypoczynkowego nie może odbyć się kosztem urlopu wypoczynkowego i okres ten nie może być jak Pan pisze odjęty od urlopu. W przypadku więc trudności winien Pan zwrócić się do Zarządu Okręgowego Związku Nauczycielstwa Polskiego.

P.H.D. — Nie przysługuje Pani renta starcza, gdyż musi Pani dla jej uzyskania pracować najmniej 20 lat.

Natomiast przysługuje Pani renta inwalidzka. Zakład pracy jest zobowiązany załatwić wszelkie formalności i pomóc Pani w załatwieniu renty.

Informujemy, że wszyscy pozostali Czytelnicy, którzy zwracali się o poradę prawną — otrzymali odpowiedzi listowne.

KRZYŻÓWKA Nr 40

POZIOMO: 1) obrządek kościelny, 9) różga, gałązka, 10) wartość, znaczenie, 11) zasadnicza ilość, 14) prąd, kierunek, 16) słynny filozof niemiecki, 17) przed Tobą, 18) trapi Sycyllian, 19) ślad, 20) sąsiadka Libii, 21) miasto na pld. od Radomia, 23) niszczy wyroby z żelaza, 25) magazyn, 28) miasto powiatowe w woj. poznańskim, 29) szata liturgiczna, 30) udzielanie święceń biskupich.

PIONOWO: 2) często bywa kimś innym, 3) miasto portowe w Algierii, 4) środek znieczulający, 5) skrzydlaty symbol wiedzy, 6) bój, 7) jeden z autorów Nowego Testamentu, 8) założyciel rodu, 12) porządek, 13) chodzi w habitcie, 15) weksel ciągniony, 16) niezyt, 22) miasto nad Dunajcem, 24) przepływa przez Budapeszt, 25) zwal. sterta, 26) miasto koło Zduńskiej Woli, 27) ma 1440 minut.

Rozwiązania należy nadsyłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem: „Krzyżówka nr 40”. Wśród Czytelników, którzy nadesłali prawidłowe rozwiązania, rozlosowana zostanie nagroda:

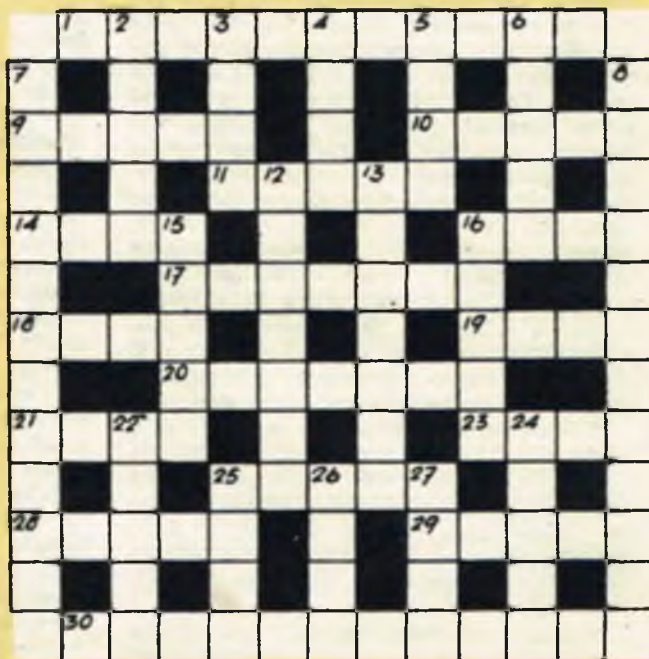
KOSMETYCZKA

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 34

POZIOMO: turniej, armia, Jazon, Iizus, Antek, Karolin, grabież, Iza, oferta, Iennik, mał, Iitania, korsarz, frant, kolor, kuria, trasa, żarówka.

PIONOWO: sutanna, medalik, Babel, mistrz, fuzja, kanonik, cenzura, osoba, norma, ganek, bekas, Iam, alt, akacja, Neron, rewia, furtian, tokarka.

Nagrodę **ŻELAZKO ELEKTRYCZNE** wylosowała p. Bronisława Patykie-wicz, Jarosław, ul. Skrzyneckiego 6.





nieważ spieszy się nam, fryzjer lakieruje głowę — ponieważ musi się „trzymać”, a my przez kilka dni staramy się nie rozczesywać fryzury, żeby pozostała jak najdłużej w stanie nie naruszonym.

Okazmy więc trochę serca naszym włosom i uznając konieczność odwiedzania mistrza grzebienia (szczególnie w celu ostrzyżenia, gdyż ma ono podstawowe znaczenie dla późniejszych efektów) postarajmy się od czasu do czasu uczesać własnoręcznie. W ten sposób pozwolimy odpocząć włosom od niewątpliwie szkodliwych zabiegów.

Najlepiej jest umyć głowę tuż po powrocie z pracy, aby przed spaniem włosy mogły wyschnąć. Po umyciu nacieramy je sokiem z cytryny, co stanowi doskonałą odżywkę, a także ułatwia układanie. Mokre włosy, te dłuższe, nawijamy na wałki, które, jeżeli są z „kolcami”, nie wymagają dodatkowego przytrzymywania

O włos od... łysiny

Na temat kobiecych włosów pisano wiersze, ich puklami obdarowywano udających się na wyprawę wojenne kawalerów. Od najdawniejszych czasów, zależnie od mody i zwyczaju, postrzygano je, trefiono, karbowano lub ondulowano... Zawsze jednak chodziło o jedno: aby je upiększyć, nadać twarzy nowych walorów, zatuszować przy pomocy fryzury jej mankamenty, a podkreślić urodę.

W żadnej jednak modzie nie poświęcano włosom tak wiele uwagi jak obecnie. Wystarczy obserwować ulicę albo kawiarnię i spostrzegamy, szczególnie wśród młodzieży, niebывały wprost urodzaj na czupryny. Co jednak robić, aby jak najdłużej zachować zdrowe i piękne włosy? Niestety, robimy chyba wszystko w kie-

runku odwrotnym, tj., aby pozbażyć się tej ozdoby. Bo mimo że tapirowanie niemodne, to nawet w pierwszorzędnej warszawskiej razurze trudno znaleźć fryzjera, który tego „procesu” czesania nie stosuje. Mimo że tapirowanie szkodzi włosom, to nawet, gdy same robimy fryzurę, aż ręka swędzi, żeby wykonać te parę nieskomplikowanych ruchów grzebieniem. Ich rezultatem jest materac pod spodem włosów i efektowny czub na środku głowy.

Farba także niszczy włosy, niemniej ponad wątpliwość siły kobiece jest nie poddawać się temu zabiegowi. To samo dotyczy suszenia gorącym powietrzem i lakierowania. Męki Tantal'a cierpimy pod rozpalonym kapeluszem aparatu — po-

szpileczkami, natomiast krótkie zwijamy na palcu i przypinamy klipsami. Na rękawkach kierunek zakręcania włosów zaznaczono strzałkami. Na każdym zdjęciu umieszczono schemat, według którego postępując otrzymujemy fryzurę taką, jak na fotografii.

Na zakręcone włosy zawiązujemy — w sposób jak najbardziej twarzowy — chusteczkę i w tym stanie musimy dotrwać aż do ich wysuszenia.

Na noc rozkręcamy loki, ale nie rozczesujemy. Znowu chusteczka na głowę i... „ostrożnie” śpimy. Natomiast rano szcietkujemy włosy, lekko nadając im kierunek grzebieniem i uczesanie gotowe.

(Jr)

SŁUCHAJ KAMILI

Słomianka

Jeśli zawieszasz na ścianie matę ze słomy — pomyśl o jej wzmocnieniu. Np. mata, która wisi z góry na dół, a więc zawieszona jest wzdłuż — powinna być u góry wzmocniona przez przybicie jej — od spodu — do cienkiej, ale dość szerokiej deseczki. Takie płytki z drewna można dostać w sklepach harcerskich, jako materiał do modelowania. Długość płytek wynosi zwykle 1 m, to jest tyle, ile wynosi szerokość maty słomianej.

Gdyby słomianka miała być narażona na ciągłe jej poruszanie, odgniatanie meblami itp., dobrze jest wzmocnić ją, podlepiając boki pod spodem szerokim plastrem aptekarskim. Wszystko to warto zrobić, bo jakby nie było — maty, mimo że ze słomy, nie są tanie, a trwałość ich też jest ograniczona.

Zawieszając matę wzdłuż, również jej długi brzeg dobrze jest wzmocnić. Czasem wystarczy tylko podlepienie plastrem, ale można i podlepić i podbić wązki paskiem drewnianej listwy, również do nabycia w sklepach harcerskich. Niestety te listwy mają długość 1 m, a więc trzeba je sztukować z kilku sztuk.

Słomianki służą nie tylko jako... ochrona czy dekoracja ściany, lub — latem, przeplatane przez bariery balkonów, ganków, tarasów — służyły jako ochrona przed słońcem, czy przed nadmierną ciekawością obcych oczu. Słomianki ślicznie potrafią dzielić wnętrze na oddzielny, spokojny kącik. Są zresztą różne rodzaje tego typu mat. Np. mata z cienkich listewek drewnianych, połączonych kolorowymi nićmi, przypomina weneckie czy wschodnie zasłony z koralików, zastępujące drzwi w gorących krajach.

U nas taka ozdobna zasłonka — mata może np. oddzielać kącik, w którym cór-

ka odrabia lekcje przy swoim stoliku czy sekretarzyku, od reszty pokoju.

Taką matę nie wieszka się na ścianie, ale... od sufitu, co daje złudzenie niby-ścianki, zresztą przezroczystej i bardzo ozdobnej.

Słomiankami zwie się również wycieraczki do butów, leżące przed progiem drzwi. Jestem wrogiem tych słomianek. Kruszą się łatwo i zaśmiecają dom oraz miejsce przed progiem, nawet wtedy, gdy są nowe. a coś dopiero po dłuższym czasie użytkowania. Obecnie można dostać w handlu przeróżne wycieraczki — wszystkie trwalsze od tych ze słomy. Wydatek jest nieco większy, ale się opłaca, bo taka słomianka jest do użytku najwyższej na jedną zimę, a wycieraczka z gumy, czy z sizalu lub innych mocnych, zagranicznych włókien, bywa nieraz wieczna.

Ozdobne poduszki

W nowoczesnym wnętrzu, na nowoczesnym, higienicznym tapczanie, wersalce, kozetce, amerykańce itp. nie obejdzie się bez ozdobnych poduszek. Naturalnie, że nikt z wyczuciami estetycznymi nie położy w takim wnętrzu poduszki haftowanej w pierrotę czy inne całujące się parki. Zupełnie wyszły też z mody poduszki gęsto naszywane w falbanki z np. różowej wstążki... Cała tego typu staroświecczyzna nie odpowiada zupełnie nowoczesnym wnętrzom, gdzie rządzi prawa funkcjonalności. Poduszka jest po to, by można na niej skłonić głowę, podłożyć sobie pod łokieć — dla wygodę, usiąść na niej, kładąc ją na podłodze itd. Ale... taka poduszka musi być równocześnie ozdobą i tapczanu i pokoju. Barwną plamą rozweselającą wnętrze.

Można naturalnie, w sklepach CPLiA dostać gotowe pokrycia na ozdobne poduszki, ale można też kupić sobie z metra potrzebną ilość materiału, dopasowaną

do wielkości naszych „jaśków” i uszyć pokrycie na poduszkę samej. Trzeba przyznać, że obecnie wiele sklepów jest wspaniale zaopatrzonych w przeróżne piękne tkaniny dekoracyjne. Tkaniny te nadają się na obicia mebli, na zasłony, portiery, story itd., ale także i na pokrycia poduszek. Trzeba tylko odpowiednio dobrać kolorystycznie — tkaninę dekoracyjną z obiciem, czy też narzutą na tapczanie.

Dla tego typu celów dekoracyjnych nie musimy mieć poduszek z puchu czy pierza. Są w handlu o wiele tańsze, lżejsze, a równie miękkie — poduszczyki z okrawków pianki poliuretanowej. Mają też tę przewagę nad poduszkami z pierza, że można je prać z łatwością, np. w pralce. Nieduże takie „jaśki” są do nabycia w sklepach „Chemii”, czy z plastykiem po 40 zł.

KAMILLA

ZASADY PRYZRZĄDZANIA WARZYW

1. Myj warzywa bardzo starannie, ale krótko. Nie pozwól, by moczyły się w wodzie. Myj tuż przed przyrządzeniem.
2. Wkładaj warzywa do wrzącej wody.
3. Nie używać poobfukowanych garnków emaliowanych, ani garnków ze stopu miedzi, do gotowania warzyw.
4. Nigdy nie dodawaj sody do gotowanych warzyw!
5. Wszystkie warzywa gotuj i duś pod przykrywką.. prócz warzyw kapustnych, które gotuje się bez przykrywania. Silnie pachnących warzyw zielonych i in. również się nie przykrywa (np. fasolki szparagowej).
6. Sól warzywa tuż przed zdjęciem z ognia.
7. Staraj się gotować jarzyny możliwie najkrócej, więc na silnym ogniu, szybko.
8. Nie odgrzewaj! Gotuj tyle warzyw, ile potrzeba na jednorazowe spożycie!

CO NA OBIAD?

1. Zupa pomidorowa z ryżem i siekaną natką pietruszki. Schab ze śliwkami, ziemniaki puree, fasolka szparagowa, salátka z pomidorami, kompot z mieszanych owoców.
2. Zupa ziemniaczana z majerankiem. Kalafior, posypyany siekanymi jajkami na twardo, ziemniaki, Budyń z dżemem lub sokiem owocowym.
3. Żurek z kielbasą i ziemniakami, zaprawiony czosnkiem. Knedle ze śliwkami, z masłem i bułeczką oraz cukrem-pudrem, ew. ze śmietaną.
4. Zupa szczawiowa z grzankami i jajkiem na twardo. Gulasz, kasza gryczana, dużo sosu. Mus z jabłek.
5. Zupa ogórkowa z ziemniakami i zielonym koperkiem. Kotlety z ryby morskiej w sosie chrzanowym. Makaron. Surówka z pomidorów lub z mieszanych jarzynek.
6. Barszcz ze śmietaną. Potrawka cielęca z ryżem. Salátka z papryki. Jabłka w cieście, z cukrem-pudrem.
7. Zupa śliwkowa z kluseczkami. Kotlety siekane, ziemniaki, ogórki kiszzone, kalafior lub brokuły. Kisiel owocowy.

K R Ó T K O...

Przekrajana kielbasa nie traci tak szybko koloru, jeśli miejsce przekrojone zasłoniemy szczelnie przystającym, nawilżonym papierem.

Przesoloną zupę można ratować, dodając do niej kilka plasterków surowego, obranego ziemniaka. Ziemniak sól wchłania, ale po paru minutach trzeba go wyjąć, bo znowu odda sól do zupy.

Jajka wrzucone do wrzącej wody nie popękają tak łatwo, jeśli woda będzie osolona.

Wolna nie znosi gorącej wody, w której się natychmiast gorącej. Trzeba ją prać tylko w wodzie letniej.

Rdzeń z noży, nożyczek itp. można usunąć sproszkowanym popiołem lub lepiej — pu-

meksem, zwilżonym odrobiną spirytusu, np. denaturatu.

Świeże pieczywo, które trudno krajać, bo „jeszcze jest gorące”, kraje się łatwiej, nacząc noż we wrzącej wodzie przed każdym cięciem. Wtedy wprawdzie noż tępieje, ale nie lepi się do niego miąższ chleba.

Plamy z trawy i zieleni nieraz łatwo znikają, gdy je przetrzeć tamponem zmoczanym w wodzie utlenionej i amoniaku.

Plamy z czarnych jagód namoczyć na noc w mleku, a potem uprać wodą bez mydła. Na ogół — po okresie jagodowym plamy z jagód same znikają.

Szerniałe palce w rękawiczkach skórkowych można oczyścić benzyną lub eterem.

DOROTA

DANIA Z KAPUSTY

Mimo, że wszyscy na ogół jadamy kapustę, nie bardzo zdajemy sobie sprawę, jaka jest wartościowa z punktu widzenia żywienia. Różne kapusty, zależnie od odmiany, mają rozmaite ilości — ale na ogół spore — różnych witamin. Szczególnie wit. A (do ok. 7000 j. mn. w porównaniu — ziemniaki mają tylko 45 j.m. wit. A), dalej wit. C, B1, B2, a nawet niektóre odmiany zawierają wit. H6 oraz wit. PP. Ponadto wiele soli mineralnych jak potas, sporo wapnia i żelaza oraz fosforu, siarkę, magnez, chlor, sód...

W kiszzonej kapuście ilość wit. C bardzo się zwiększa, szczególnie w soku tej kiszki.

Z mikroelementów np. kapusta biała zawiera spore ilości miedzi, manganu, kobaltu, aluminium, nawet jodu i fluorku. Są to wszystkie drobne ilości, nieraz milionowe części grama, a jednak niezbędne dla prawidłowego funkcjonowania naszego organizmu.

SURÓWKI Z KAPUSTY

30 dkg kapusty białej lub włoskiej drobno poszatkować, wymieszać z 15 dkg utartej na grubszych oczkach tarki surowej marchewki, dodać 2—3 łyżeczki utartej cebuli, pół łyżeczki cukru pudru, łyżkę soku z cytryny i wszystko razem wymieszać z paru łyżkami majonezu lub śmietany.

Inną odmianą będzie dodatek tartego jabłka, zamiast marchewki.

Jeszcze inną — dodatek zamiast marchwi — utartego na grubych oczkach tarki — selera i jabłka.

I jeszcze jedna odmiana: poszatkowaną słodką kapustę wymieszać z drobno pokrojoną cebulą i doprawić solą, cukrem i octem winnym. Polać śmietaną, wymieszaną z posiekanym zielonym koperkiem.

Zamiast cebuli nieraz dodaje się posiekane-go, kiszzonego ogórka. A zamiast majonezu lub śmietany, można przyrządzić salatkę z kapusty (słodkiej, białej, surowej) „po francusku”, czyli z solą, pieprzem, octem winnym i olejem sojowym.

KAPUSTA FASZEROWANA

Główkę kapusty włoskiej lub zwyczajnej, o wadze ok. 1,20 kg, przekrawać na 4 części i włożyć do gotującej się wody. Po kilku minutach wyjąć. Chodzi o to, by liście zmiękły. Odstawić na sicie czy cedzaku, by dobrze kapusta ociekła.

40 dkg mięsa mielonego, np. wieprzowiny lub baraniny, wymieszać z 1 jajem, bulką namoczoną w wodzie lub w mleku i odciśniętą; z solą, pieprzem i 1 dużą cebulą, drobno posiekaną i lekko obsmażoną na tłuszczu.

Tym farszem przekładać liście kapusty, w każdej ćwiartce. Następnie wszystkie cztery ćwiartki już nadziane ułożyć ściśle w rondlu, zalać szklanką wody z rozpuszczoną kostką bułionową i wstawić do piekarnika na ok. pół godziny. Można też dusić na małym ogniu, ale to trwa dłużej i trzeba pilnować przed przypaleniem.

Gdy kapusta będzie już na dogotowaniu, dołożyć do niej następujący sos: z łyżki tłuszczu i łyżki mąki przyrządzić złotą zasmażkę, rozprowadzić ją wodą lub rosółem, dodać soli, troszkę cukru i wlać do kapusty. Gdy się raz zagotuje — gotowe.



Uwaga: Czasem udaje się główkę kapusty faszerować bez przekrawania jej na części. Po prostu pomiędzy liście nakłada się farsz. Taka kapuszciana faszerowana główka będzie ładniejsza, jeśli podczas duszenia jej czy zapiekania w piekarniku będzie owinięta i przewiązana grubą nitką. Naturalnie, że przed podaniem nitkę się zdejmuje.

KAPUSTA WŁOSKA Z GRZYBAMI

1 kg główkę kapusty włoskiej obgotować, odcedzić, ostudzić, oddzielić liście.

35 dkg ryżu (ok. 1 szklanka) zalać — po oplukaniu — 2,5 szklankami wrzącej wody i zagotować. Najpierw na dużym ogniu, a gdy zacznie wrzeć — dogotowywać na małym ogniu.

Czwierć kg grzybów (świeżych — mogą być niemal każde, byle jadalne!) oczyścić, pokrajać i udusić z łyżką oleju sojowego i jedną posiekaną cebulą.

Ugotowany ryż wymieszać z uduszonymi grzybami, dodając: 3 łyżki tartej bułeczki, soli i pieprzu do smaku. Zamiast pieprzu może być papryka w proszku.

Dno rondla wyłożyć kilku liśćmi kapusty. Na to nałożyć warstwę ryżu z grzybami, na to znowu liście kapusty i tak aż do wierzchu. Na wierzch dać liście i wszystko razem zalać lekko ocukrzoną wrzącą wodą (około 1 szklanki). Może to być rosół lub woda z rozpuszczoną małą łyżeczką od czarnej kawy „rosółu z drobiu” lub „wołowego” z koncentratów.

Gdy kapusta będzie już miękka, wówczas można potrawę zalać sosem zrobionym na białej zasmażce, lub po prostu małym kubkiem śmietany, rozbełtanej z łyżeczką mąki. Naturalnie, że ta mąka musi się choć raz zagotować.

Danie można dusić na ogniu, lub zapiekać w piekarniku. Można też na wierzchu — kto lubi — posypać 5 dkg tartego żółtego sera i z nim zapiekać potrawę na złoty kolor.

Można też do kapusty dorobić osobno sos pomidorowy i podawać to danie razem z sosem. Smacznego. (1)

KŁOPOTY Z OPALONĄ CERĄ

Zachwycone naszą opalenizną pourlopową, teraz stwierdzamy, że cera „coś się nam popsuła”. Jest przesuszona, a wkoło oczu, ust, podbródka przybyła absolutnie niepotrzebna siateczka zmarszczek. Najwidoczniej zbyt mało kremu wbiłaliśmy w naszą skórę, którą słońce, powietrze i woda nadmiernie przesuszyły. Jaka na to rada?

Jeśli to przesuszenie było tylko powierzchowne można jeszcze skórę przed zmarszczkami uratować. Jeśli — głębokie — nic nie pomoże, bo... opalenizna miała, ale zmarszczki zostają.

Ratowanie przesuszonej skóry zaczynamy od 10—14 dniowej kuracji z kompresów ziołowych. 1 łyżeczkę siemienia lnianego zalać szklanką zimnej wody i zagotować, 1 łyżeczkę kwiatu lipowego zalać szklanką wrzącej wody i odstawić przykrytą na ok. 20 minut. Po czym wymieszać te dwa „ziółka” i maczać w nich kompres, który następnie przykładamy sobie na twarz na ok. 10 minut. Dobrze jest też ratować w ten sposób szyję — drugim kompresem. Kompres można zrobić z gazy kilkakrotnie złożonej, a nawet można w tej gazie wyciąć otwory na oczy, nos i usta. Roztwór ziołowy może być letni, nie za zimny. Jeśli kompres wysycha, trzeba go zwilżyć ponownie.

Po zdjęciu kompresu osuszamy lekko twarz i w jeszcze wilgotną skórę wklepujemy któryś z dobrych kremów odżywczych, najlepiej zawierających wit. A i F.

Plamy barwikowe — to też przykra pozostałość po zbyt długim opaleniznie. Jak je usunąć? Nie zawsze schodzą łatwo; ale wtedy trzeba się uzbroić w cierpliwość. Czasem wystarczają tylko kompresy ze zsiadłego mleka, nakładane co drugi dzień. A gdy one nie skutkują, dobrze jest zrobić sobie maseczkę wybielającą. Tzn. wymieszać papkę z łyżeczką mąki ziemniaczanej oraz z łyżki 3—5 proc. wody utlenionej. Tę papkę rozsmarować po płamach na twarzy czy szyi i po 10 minutach spłukać wodą zakwaszoną cytryną: (sok z pół cytryny na szklankę wody). (BELLA)



ROZMOWY Z CZYTELNIKAMI

Pan Janusz Z. z Włocławka. Niewątpliwie ma Pan rację stwierdzając, że Pismo św. Starego Testamentu jest w rozlicznych wypowiedziach wyrazem nie tylko wiary religijnej w jednego, prawdziwego Boga, lecz równocześnie przedstawia sprawę ludzkie i to od ich całkiem nieszlachetnej strony. Pozdrawiamy serdecznie.

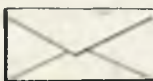


Pan Borys Zdaniuk z Lublina. Wyraz apokryf (od greckiego „apokryphos” — ukryty) ma znaczenie kościelne i świeckie. W życiu kościelnym apokryf to jakiś utwór tematycznie związany z Pismem św. i według zamierzeń autora mający wejść do kanonu ksiąg biblijnych, lecz niedopuszczony do niego lub usunięty przez władze kościelne. Autor apokryfu jest nieznanymi, czyli ukrywa się pod nazwiskiem jakiejś postaci znanej. Celem apokryfu jest wprowadzenie ludzi w błąd, ale jest to cel dalszy. Celem pierwszorzędnym miało być uzupełnienie Biblii rozmaitymi bardzo ciekawymi szczegółami wziętymi najczęściej z wyobraźni.

Najwięcej apokryfów powstało w pierwszych wiekach chrześcijaństwa, zwłaszcza w wiekach II i III. Autorami ich byli przeważnie gnostycy, czyli tacy chrześcijanie, źle znający chrześcijański katechizm. Przyznać jednak należy, że do pisania apokryfów zachęcali chrześcijan wyznawcy Mojżesza, ponieważ już kilkadziesiąt lat przed Chrystusem oni stworzyli trzecią Księgę Ezdrasza i pierwszą część Księgi Henocha. W erze chrześcijańskiej powstały wśród żydostwa takie apokryfy jak Księga Jubileuszów, Apokalipsa Barucha, 4-ta Księga Ezdrasza, 3-cia Księga Machabeuszów, 18 psalmów Salomona i in. Apokryfy chrześcijańskie naśladowały przeważnie cztery rodzaje pism Nowego Testamentu: Ewangelie, Dzieje, Listy i Apokalipsę. Apokryfy naśladowujące Ewangelie opisywały albo dziecięce lata Chrystusa (np. ewangelia według św. Tomasza), albo Jego działalność po zmartwychwstaniu przedłużoną z 40 dni do półtora roku (np. ewangelia wg Nikodema). Zmyślone Dzieje Apostolskie opisywały życie każdego z dwunastu Apostołów. Najwięcej zajmowano się dwoma Apostołami: św. Piotrem i Pawłem.

Dotychczas nie wydano apokryfów chrześcijańskich po polsku. Jeżeli Pana interesuje ich tekst, można poszukać w bibliotekach zbioru pt. „Codex apocryphus Novi Testamenti” wydanego w 1703 r. w Hamburgu przez Fabriciusa, względnie zbioru pt. „Apo-

crypha anecdota” wydanego przez Jamesa w latach 1893—97 w Cambridge. Pozdrawiamy.



Pan Janusz S. z Kolbuszowej. Kandydaci do stanu duchownego w Kościele Polskokatolickim kształcą się w uczelni na prawach uniwersyteckich przez pięć lat. Jej adres: **Chrześcijańska Akademia Teologiczna, Warszawa-Chylice, ul. Długa 43.** Odrębnego seminarium duchownego Kościół Polskokatolicki nie prowadzi. Pozdrawiamy.



Pan B. z Nysy. Nawet groźba Pana przejęcia z Kościoła rzymskokatolickiego do grupy Świadców Jehowy nie może nas nakłonić od odwołania stwierdzenia, że Świadkowie Jehowy nie są chrześcijanami.

Inna rzecz, że niewłaściwie Pan pojmuje nazwę „chrześcijanin”, a mianowicie idealnie zamiast realnie. Chrześcijanin nie powinien mordować, kraść, uprawiać pijaństwa, chuligaństwa, rozpusty i wielu innych nieprawości, lecz uczciwie, szlachetnie, porządne życie nie jest monopolem chrześcijańskim. To przecież nie chrześcijanie (a także nie Żydzi) wynaleźli obowiązek szanowania rodziców, ludzkiego życia, cudzej własności. Jeżeli więc mówimy, że Świadkowie Jehowy nie są chrześcijanami, nie twierdzimy, że to źli, nieuczciwi, podli ludzie. Twierdzimy tylko, że nie przyjmując całej nauki Chrystusa (np. o Trójcy św.) nie są uczniami Chrystusa.

Wiadomo, że wielki przywódca duchowy Hindusów, Mahatma Gandhi, to człowiek na wskroś szlachetny, a przecież chrześcijaninem nie był i — co smutniejsze dla chrześcijaństwa — nie chciał nim być. Oświadczał, że jeżeli Anglicy gnębiący Hindusów są chrześcijanami, to on woli być poganinem, ale praktykującym miłość bliźniego. Zasady uczciwego życia nie są monopolem chrześcijaństwa, czy w ogóle jakiejkolwiek religii. Można być porządnym człowiekiem a równocześnie ateistą.

Oczywiście chrześcijanie zawsze dążyli do narzucenia światu przekonania, że szlachetność jest właściwością tylko chrześcijan. Już około 200 roku pisarz chrześcijański, Tertulian, doszedł do twierdzenia, że każda dusza ludzka jest z natury swej chrześcijańska, ponieważ szuka dobra i nienawidzi zła. To samo jednak wtedy twierdzili np. buddyści o swojej religii, a nie można powiedzieć, że nie mieli racji. Dlaczego? Dlatego, że celem każdej religii jest uszlachetnienie człowieka.

Całkiem co innego jednak stanowi dziedzi-
na zasad wiary czyli prawd objawionych przez Chrystusa. Można żyć według moral-

nych zasad Chrystusa, jednocześnie odrzucając Jego naukę lub w ogóle w nic nie wierzyć.

P.S.: Wielu apologetów Świadców Jehowy gorąco zaprzecza, jakoby oni zwalczali instytucję państwa, natomiast Pan wyraźnie pisze, że nie chcą oni aparatu przemocy, więzień, policji, wojska zatem, i podatków, i granic, i tego wszystkiego, co stanowi istotę państwa. Jak to jest naprawdę? Należy się zadeklarować. Pozdrawiamy.

Jest do nabycia „**SPIEWNIK KOŚCIELNY**”. Śpiewnik zawiera melodie (nuty) i teksty 48 pieśni przygodnych, 12 pieśni adwentowych, 57 kołęd i pastorałek, 30 pieśni na Wielki Post, 20 pieśni wielkonočných, 66 pieśni eucharystycznych, 60 pieśni maryjnych i do Świętych Pańskich, 20 pieśni za zmarłych, litanie, nieszpory, Gorzkie Żale — łącznie 645 stron druku w twardej oprawie. Cena 80 zł za egzemplarz. Przy zamówieniach ponad 10 egzemplarzy udzielamy rabatu 20%. Wysyłamy za pobraniem pocztowym dla parafii, chorów, towarzystw przykościelnych i indywidualnie.

Zamówienia prosimy kierować na adres: **PREZYDIUM RADY KOŚCIOŁA, WARSZAWA, WILCZA 31.**

JESZCZE SĄ DO NABYCIA

Mroki rozjaśniają się 10.—zł
(wspomnienia z zakonu o.o. salezjanów)

Nam zapomnieć nie wolno 15.—zł
(reportaże z lat okupacji o bohaterstwie i walce narodu polskiego)

Piękna nasza Polska cała 15.—zł
(zbiór reportaży z wędrowek po wsiach i miasteczkach Polski)

Stosunki polsko-watykańskie w tysiącleciu 12.—zł

(różnie kształtują się stosunki między papieżem a Polską, w minionych wiekach i o tym pisze autor na podstawie dokumentów)

Sprawa Kościoła Narodowego w Polsce w XVI wieku 42.—zł
(mało kto wie, że myśl tę rzucili wybitni przedstawiciele Oświecenia i to jest zagadnienie, które pisarz uwypukla w swej książce)

Trzynasty stopień wtajemniczenia . 15.—zł
(alkohol i jego skutki, walka z pijaństwem i o zdrowie ludzkie zagrożone alkoholem. zdopingowały autora do przystępnego opracowania tego problemu)

Zamówienia wraz z należnością prosimy kierować na adres:

INSTYTUT WYDAWNICZY „ODRODZENIE” Warszawa, ul. Wilcza 31.

Książki wysyłamy również za zaliczeniem pocztowym.

Wydawca: Instytut Wydawniczy „Odrodzenie”. Redaguje Kolegium. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, ul. Wilcza 31. Tel. 28-97-84; 29-26-43. Warunki prenumeraty: Prenumeratę na kraj przyjmują urzędy pocztowe, listonosze oraz Oddziały i Delegatury „Ruch”. Można również dokonywać wpłat na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch”, Warszawa, ul. Wronia 23. Prenumeraty przyjmowane są do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Cena prenumeraty: kwartalnie — 26 zł, półrocznie — 52 zł, rocznie — 104 zł. Prenumeratę na zagranicę, która jest o 40% droższa — przyjmuje Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch”, Warszawa, ul. Wronia 23, tel. 20-46-88, konto PKO Nr 1-6-100024. (Roczna prenumerata wynosi: dla Europy 78, 19,70 DM, 23,40 NF; 1,13,6 £; dla St. Zjednoczonych i Kanady 78; dla Australii 2,10,5 £A, 20,4 £E). Można również zamówić prenumeratę, dokonując wpłaty na konto Instytutu Wydawniczego „Odrodzenie” PKO Nr 1-14-147290. Nie zamówionych rękopisów, fotografii i ilustracji redakcja nie zwraca.



Ludwik Kubaszczyk przed swoim domem i jego rzeźby...

Widok na wieś Istebna



Przy szosie, która w tym miejscu osiąga szczyt góry, stoi dom Ludwika Kubaszczyka. Zwykły, mурowany o biało tynkowanych ścianach. Obok zabudowania gospodarskie. Widok stąd wspaniały. W dole wieś Istebna, a pod nią strzelista wieża kościółka. Kwadraciki pól, przeplatane „zbożem rozmaitem” i góry pokryte zielenią lasów. Na południu maleńkie kolorowe domki — to już Czechosłowacja. Łagodny wiatr niesie zapach dojrzałych zbóż i nawet przejeżdżający autobus nie jest w stanie zatruć czystego, rzeńskiego powietrza.

Stukam do drzwi i po chwili znajduję się w izbie twórcy ludowego, 62-letniego rzeźbiarza — Ludwika Kubaszczyka. Kuchnia w rogu izby,

K O N I A K Ó W

Maska przebierańca, którą przymierza wnuk Kubaszczyka



zwykle tanie stolki, kołyska, łóżka. Akurat jest pora śniadaniowa. Na stole kubek z herbatą, na blasze pieką się duże placki z mąki.

Mój rozmówca narzeka na ból nóg, nie może chodzić. Do rozmowy wtrąca się córka. „Tato rzeźbi od lat, jeszcze kiedy był chłopakiem, najwięcej to maski. U nas chodzą przebierańce, no to chłopaki potrzebują.” Dziś maski odbiera Cepelia, kupują turyści. Oprócz masek w surowym lipowym drzewie rzeźbi wszystkie charakterystyczne postacie „przebierańców”. Jest tu i żyd i śmierć i diabeł, figurki górali i pasterzy itp. U Kubaszczyka rzadko występują świątki. Próbował też i malarstwa. W Wiśle w muzeum wisi jego obraz „Pasterz z owieczkami”.

Córka Kubaszczyka, Helena, jak wiele innych kobiet kontaktowskich zajmuje się haftem. Jej koronki wędrują w świat za pośrednictwem Cepellii, wiszą oprawione w ramki w świetlicy w Istebnej, były na wystawie w Moskwie, w Pradze i w wielu innych miastach.

J. CHODAK

i okolice

